



ROK LIX

Nr 41

18 GODZIN NOWEJ ILLUSTROWANEJ DLA KOBIEK

WARSZAWA, DNIA 9 PAŹDZIERNIKA 1926 ROKU

TREŚĆ NUMERU: Papierowi ludzie — *H. Ceysingerówna*. Nasze zdobycze — nasze zaniedbania — *C. W.* Praca domowa ucznia — *T. Męczkowska*. Wiersz: „Macierzanki”. „Młodzieniec” (nowela) — *Zygmunt Kisielewski*. Jeden dzień na Maderze (kartka z higieny miłości) c. d. — *P. Mantegazza*—autor. przekł. *T. Jakubowicza*. Córka Boga (c. d.) — *Z. Zawiszancka*. Clemenceau jako Demostenes Francji współczesnej — *Z. Szymdtowa*. Słowa na wolności — *Stefanja Podhorska-Okołów*. Kobieta w świetle i w domu — *Z. B.* Z książek — *K. Sulita*. Z teatrów — *Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Motyle — *Bogumiła Neumanowa*. Szale — *W. D.* Psychologia stroju kobiecego — *Beverly Nichols*. Polska współczesna. Na korce tenisowym — *J. S.* Metaloplastyka (dok.) — *Eleonora Onichimowska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Trzy Kobiety annamickie” — *C. Chivas* — *Bazan* (tłum. *Dr. M. Kastarska*). Arkusz wzorów.

PAPIEROWI LUDZIE



czy przede mną „pismo” urzędowe z datą 20 sierpnia 1926 r., z nagłówkiem „Inspektor Szkolny m. st. Warszawy”.

Czytam.

„Pismo” roi się od paragrafów i dat.

Jako wynik ostateczny, wyrazi:

„Jako nauczycielka tymczasowa, nie może Pani korzystać wogóle z postanowień ustawy emerytalnej z dn. 11 grudnia 1923 r.”.

I jeszcze dodatkowo:

„Zaliczone Jej lata pracy nauczycielskiej w polskich szkołach prywatnych reskryptem Ministerjum Wyznań Rel. i Oświecenia Publ. z dn. 3 kwietnia 1925 r. byłyby uwzględnione przy wymiarze uposażenia emerytalnego jedynie wówczas, gdyby Pani nabyła prawo do emerytury w myśl art. 1-go ustawy emerytalnej.

Odbiór niniejszego i t. d.”

Czytam i myślę: czy papierowy człowiek, który to pisał, wiedział, co znaczą wyrazy „lata pracy w polskich szkołach?”

To tak się prędko i łatwo napisało!...

Czy wie autor tej odpowiedzi i ci panowie z Ministerjum Skarbu, po porozumieniu z którymi ów wyrok zapadł, że te 14 lat pracy — to przedewszystkiem była praca bezpłatna?...

No... nietylko bezpłatna!

To była praca, w którą wkładało się wszystkie swoje, dosyć znaczne fundusze, której oddawało się

18 godzin czasu na dobę i cały zapał gorącej duszy i niezłomną wolę buntowniczego serca, nie mogącego pogodzić się z ciemnotą i rosnącą rusyfikacją ludu polskiego.

Wzamian, czegoż można było oczekiwać!

Emerytury... na Sybirze! Uznania... żandarmów! Odpoczynku... w więzieniu! A dziś?!

„Te lata byłyby zaliczone, gdyby...”

Te lata, jak lata wojny, winno się, liczyć podwójnie!

Śmiech gorzki zbiera zaprawdę!

Śmiech gorzki!

Bo jednocześnie przyznaje się pełnię praw emerytalnych wszystkim rusyfikatorom, wszystkim narzędziom carskiej władzy, którzy byt swój i rodzin swoich opierali na służalstwie i skrupulatnem pełnieniu rusyfikacyjnych rozporządzeń moskiewskich!

Ale, Bóg z nimi!

Krótko mówiąc, chodzi o osobę, która, po 2-letniej pracy oświatowej w Otwocku, zainicjowała na jesieni 1894 r. i zorganizowała w Warszawie t. zw. „Tajne Nauczanie”. Stojąc na czele tej tajnej instytucji przez lat 12, doprowadziła ją do wysokiego poziomu doskonałości organizacyjnej i pedagogicznej. Przez szkoły jej przeszło w tym okresie około 15 tysięcy dzieci. W zakres jej wpływu wchodziło tysiące rodzin robotniczych i szerokie koła inteligencji, którym była zachętą i przykładem niepoddawania się biernie rozkazom i nakazom rządów zaborczych.

Bez przesady stwierdzić należy, że w ówczesnej Warszawie „Tajne Nauczanie“ było swego rodzaju potęgą i nadawało pewien ton życiu.

Z olbrzymiego rezerwoaru ludności robotniczej, uświadomionej już politycznie i nastrojonej opozycyjnie przez tajną szkołę, wszystkie partje ówczesne czerpały materiał pewny i wartościowy.

Liczebnie biorąc, szkoła „Tajnego Nauczania“ przeciwstawiała się szkole rządowej, jako poważna współzawodniczka.

Ogarniała bowiem w pewnych momentach niemal połowę tej liczby uczniów, której jawna państwowa, czy miejska szkoła podawała zatrute swoje owoce.

Po 12 latach, podczas których kierowniczka Tajnego Nauczania jednej nocy nie miała spokojnej, bo każde dziecko zdradzić ją mogło przez nieświadomość, lub nieuwagę, każdy wypadek niefortunny wydać ją mógł w ręce żandarmerji, przekazano w r. 1906 pracę Tajnego Nauczania Polskiej Macierzy Szkolnej.

Czasy się zmieniły. Jawna praca oświatowa wydawała się możliwą.

I oto ukryci działacze wyszli z podziemi, by owoc swych trudów przekazać swoim następcom.

Pamiętną mi jest chwila, gdy na zebraniu organizacyjnym Koła Śródmieścia P. M. S. w czerwcu 1906 r. na niespokojne pytania zgromadzonych, co robić będziemy, jak robić będziemy—wstał taki cichy, nieznanzy człowiek i oświadczył:

„Na terytorjum, które sobie Koło Śródmieścia zakreśliło, praca oświatowa prowadzona jest oddawna.

W obecnej chwili funkcjonuje na niem 50 tajnych szkółek, po 20 dzieci w każdej. Te 1000 zorganizowanych dzieci przekazujemy wam. Przekazujemy wam nadto sto kilkadziesiąt dzieci, które ukończyły 4-ty i 5-ty oddział Tajnego Nauczania. Temi dziećmi zapełnicie odrazu 5-ty i 6-ty oddział wzorowej, sześcioklasowej szkoły, którą stworzyć zamierzacie.

Resztę radzimy wam pozostawić w formie dotychczasowej, jako jawne już i dozwolone Nauczanie Domowe, albowiem narazie, w braku większych funduszków, będzie to najtańszy i z wielu względów najbardziej wskazany sposób przygotowania sobie materiału dla wyższych klas szkół wzorowych, jakie projektujecie.

Przekazujemy wam cały, wyrobiony już personel nauczycielski, oraz nagromadzony przez długie lata współpracy kapitał sympatji i zaufania ludności“.

Pomnę, z jakim entuzjazmem przyjęto wówczas te słowa.

Koło Śródmieścia P. M. S. przejęło na swoje utrzymanie 50 tajnych szkółek, które stały się z tą chwilą nieprześladowanymi już przez policję „Szkołkami domowymi“. To samo zrobiło Koło Wolskie ze szkołkami, znajdującymi się na jego obszarze. To

samo Koło Staromiejskie i Koło Powiśla. Reszta szkółek tajnych zaopiekował się Zarząd Okręgowy P. M. S.

Ten sam, mniejwięcej, proces przeszła w tym czasie praca oświatowa w całym kraju i właśnie to budowanie na gotowym już i rozległym fundamencie pracy tajnej uczyniło w kilka miesięcy z Polskiej Macierzy Szkolnej czynnik, o którym Stołypin w liście do generał-gubernatora warszawskiego wyraził się: „ta potworna organizacja“.

Czy o tem wszystkim wiedzą cośkolwiek ludzie papierowi, którzy zasiedli spokojnie do stolików w biurach odrodzonej Rzeczypospolitej?!

Nic a nic!

I nawet dowiedzieć się nie chcą.

Nić tradycji między przeszłością tak niedawną, a chwilą obecną zerwali całkowicie.

Potrafiają oni zadać naiwne pytanie: czy w r. 1887 był wykład w języku polskim w szkołach wileńskich? Potrafiają obrzucić wymówkami kandydatkę do seminarjum, za to, że nie uczęszczała do gimnazjum rosyjskiego, i z tego powodu utrudniać jej przyjęcie, bo poprostu nie orjentują się, że ówczesne gimnazja żeńskie były obłożone bojkotem, jako twierdze rusyfikacyjne.

Oni to w sposób suchy, formalny, i bodaj nawet bezprawny traktują sprawę wynagrodzenia bezinteresownych usług, oddanych Państwu w epoce jego najgłębszego upadku i poniżenia.

My zaś twierdzimy, że kto nie zna najdokładniej i najszczegółowiej historii wysiłków oświatowych społeczeństwa polskiego w walce z systemem ciemnoty i wynarodowienia, stosowanym przez oba rządy, komu obcą jest martyrologja polskiego dziecka i polskiego nauczyciela, ten nie ma prawa być urzędnikiem w Ministerjum Oświecenia niepodległej Polski!

Na początku niniejszego artykułu podałam przykład najjaskrawszy tej bezduszności i bezmyślności, jaka się rozpanoszyła w Ministerstwie Oświecenia, szczególnie za smutnej pamięci rządów p. Stanisława Grabskiego.

Takich spraw jest więcej.

Oto za czasów, nieco już późniejszych, gdy dzięki energicznej walce o szkołę polską uzyskano pozwolenie zakładania szkół prywatnych z polskim językiem wykładowym, powstało w Warszawie Seminarjum Nauczycielskie pod egidą Polskiej Macierzy Szkolnej. Po zamknięciu Macierzy istniało dalej pod nazwą Kursów Nauczycielskich. Utrzymywane wysiłkiem szczupłego grona osób, przekazane zostało ostatecznie Państwu Polskiemu.

Duszą tej szkoły i zarazem jej nieoficjalną kierowniczką była znana działaczka oświatowa. Czy sądzicie, że 12 lat zupełnie bezinteresownej pracy od świtu do nocy, pracy półtajnej, bo przy ukrywaniu przed czujnym okiem inspektora wszystkich polskich

przedmiotów, a nade wszystko patriotycznego ducha instytucji, czy sądzicie, że praca ta doczekała się jakiegoś wyrazu uznania?

Bynajmniej! Nawet starania przyjaciół o uzyskanie dla niej skromnej zapomogi emerytalnej nie miały dotąd powodzenia.

Sprawa trzecia:

Nauczycielka zawodowa, pracująca od 25-ciu lat bez żadnej przerwy, z tego w Tajnym Nauczaniu w Warszawie 6 lat, jako nauczycielka, a 2 lata, jako wizytatorka i zastępczyni kierowniczką, 3 lata w szkole Polskiej Macierzy Szkolnej, 5 lat w szkole średniej ks. Gralewskiego w Starej Wsi, 3 lata (okupacja niemiecka), jako pomocnik Inspektora szkół m. Warszawy, przyczem rok ostatni już na służbie państwowej polskiej, potem od 1918 do 1926 w seminarjum nauczycielskim męskim w Łowiczu, w seminarjum nauczycielskim żeńskim w Piotrkowie, w gimnazjum żeńskim w Łodzi, wyróżniana wszędzie, jako siła pod każdym względem pierwszorzędną, stargawszy zdrowie, chora na serce przechodzi wreszcie w stan spoczynku.

I teraz zaczynają się dziać rzeczy przedziwne. Przedewszystkiem Ministerjum Oświecenia nie zalicza jej do wysługi lat, Bóg wie jakim prawem, 3-ch lat oddanych szkole Macierzy i 2-ch lat ciężkiej pracy inspektorskiej w czasie wojny, pod rządami okupacyjnymi. Następnie Ministerstwo Skarbu, zgoła bezprawnie, bo nie do niego należy decyzja o tych rzeczach, skreśla jej owe 8 lat pracy w Tajnym Nauczaniu. I oto z 25 lat pozostaje jej 12!

Śmiem twierdzić, że takimi metodami szerzy się w kraju demoralizację.

Tak jest. Nie cofam wyrazu.

Gdy bowiem ogół widzi, że zasługi, położone dla Państwa są traktowane gorzej, niż czyny w stosunku do tego Państwa ujemne, to jest to, z państwowego polskiego punktu widzenia, rzeczą demoralizującą.

I nie chodzi nam nawet o wymienione wyżej działaczki. Ich stosunek do Polski jest tego rodzaju,

a serca ich są tego typu, że nawet wyrządzona im krzywda nie może napełnić ich uczuciem rozgoryczenia, czy żalu.

Chodzi nam o ogół, o szerokie masy społeczeństwa, tak jeszcze mało zżytego z ideologią państwowości polskiej. Chodzi nam o zasadę, że właśnie te lata, te lata pracy tajnej, nielegalnej, czy półlegalnej w szkołach wszelkiego typu i rodzaju, te lata dostojnego buntu przeciw nakazom zaborców, te lata nie mogą być nigdy i nikomu niezaliczone!

Tą zasadą niewątpliwie kierowali się prawodawcy, gdy paragraf 81-szy Ustawy o zaopatrzeniu emerytalnem funkcjonariuszy państwowych z 11/12 1923 r. ujęli w słowa następujące:

„Min. Wyzn. Relig. i Oświecenia Publicznego zaliczy do wysługi emerytalnej lata udowodnionej pracy nauczycielskiej tym byłym zawodowym nauczycielom polskich szkół prywatnych w byłym zaborze rosyjskim, którzy, posiadając odpowiednie kwalifikacje, wstąpili do służby państwowej polskiej w zawodzie nauczycielskim i pozostają na służbie w dniu 1 października 23 r. i ze służby tej przechodzą w stan spoczynku, a to pod warunkiem, iż w ciągu pół roku od dnia ogłoszenia niniejszej ustawy przedstawią Min. W. R. i O. P. wystarczające dowody swej pracy nauczycielskiej w wymiarze conajmniej 14 godzin tygodniowo“.

Sens tych słów jest zupełnie wyraźny i nie należałoby uciekać się do niegodnych władzy polskiej wykrętów, jak czyni to Ministerjum Skarbu, wyjaśniając, że czas spędzony na urlopie nie może być zaliczony do wysługi lat, lub skreślając lata, poświęcone Tajnemu Nauczaniu.

Należałoby raczej interpretację tego paragrafu czynić rozciągliwszą, gdy chodzi o osoby, których zasługi nie podlegają żadnej wątpliwości.

Należałoby — w interesie Państwa Polskiego właśnie!

Władza szczerze polska i prawdziwie demokratyczna nie może wytwarzać sytuacji, oburzających sumienie publiczne.

H. Ceysingerówna.

NASZE ZDOBYCZE — NASZE ZANIEDBANIA



ato nastawia jakby olbrzymi kamerton, którego dźwięki rozchodzą się po kraju, albo — jeśli wolimy — wielkie anteny radja. Odkąd (ze smutnej konieczności, nie dla jakichś głupich obywatelskich skrupułów) przestaliśmy jeździć zagranicę i rozfruwamy się jak ptaki po różnych zakątkach Polski, zawsze dla

nas nowych, witanych niekiedy z ciekawością, częściej obojętnie, dzielimy się (co bystrzejszy pielgrzym) syntezą spostrzeżeń z bliskimi naszymi. Prasa staje się tym wielkim kamertonem, albo — jeśli wolimy — odbiorcą radja, w którym czytelnik znajdzie zawsze jakieś echo miłe sobie lub przykre.

Kilka dobrych nowin przynieśli nam gońcy krajowi. Niestrudzony pracownik w dziedzinie budzenia i utrwalania polskości na kresach zachodnich, p. Stanisław Bełza, donosi o świeżo stworzonej placówce oświatowej na Pomorzu, niedaleko Gdyni. Powstał tam w pięknym gmachu, nad frontonem którego widnieją słowa Mickiewicza „Młodości, podaj mi skrzydła!“, Uniwersytet Ludowy, trzeci już w Polsce na wzór duńskich uniwersytetów tego typu. Jest przy nim internat (kobiety płacą 250 zł., mężczyźni 300). Jest czytelnia dla uczniów i nauczycieli — 1153 dzieła oprawne, dostarczone przez T-wo czytelnicy ludowych w Poznaniu. Czas wolny spędzają słuchacze i słuchaczki na gimnastyce i czytaniu. Z akład, stworzony

dzięki niezmordowanym trudom ks. Ludwiczaka, gro-
madzi uczniów i uczennice od 18 — 30 lat ze Śląska
pruskiego i polskiego, z Pomorza, z Kaszub. Duch
wysoco podniosły i patriotyczny.

Czy nie radosna wiadomość?

Bluszcz wspominał parokrotnie (Nr 3 i 28 r. b.)
o Domu w Sromowicach. Wyżnierz nad Dunajcem
o 4 klm. od Czorsztyna. Wyrósł jakby z pod ziemi.
Wczoraj go jeszcze nie było. Dziś, jak sen wyśniony
Czarowica, patrzy wielkimi oknami na wszystkie
cztery strony świata i wre życiem. „Wszystko jest tam
w stanie ciągłego tworzenia. Wszyscy pracują, żeby
udoskonalic typ zbiorowości, gospodarstwa, szkoły“.

Jak wyśniony sen Czarowica!

Gwar, śpiew, gry przeróżne. Prócz szkoły in-
struktorskiej harcerstwa i szkoły dla dzieci, ściśle
współżycie z ludem okolicznym. Wykłady popularne,
wskazówki z dziedziny przemysłu ludowego, pośred-
nictwo w sprzedaży wyrobów gospodarskich, wieczo-
rami bajki, cudne bajki. Czy nie jak w świecie „Róży“?

Może jest blisko domu, tam na stromem urwisku,
sosna samotna. Obok niej klomby. Opodal smukłe
malwy. Może — jak chciał Żeromski — są tam gaje
brzozowe, i las - ogród, i płaszczyna do zabawy w
piasku, i miękkie ławki darniowe. Może przysiadł na nich
cień poety - marzyciela i zadumał się i łzawo roześmiał,
że tak szybko myśl jego wcielona. I tak, jakgdyby
on sam lub jego astrala, Czarowic, tu był i kierował
ręką drużny Oleńki Małkowskiej, żeby stanął taki
cisowy dwór na wysokim podmurowaniu, z oknami
na cztery strony świata i — być może — z werandą
o łukowych arkadach.

Jak chciał Żeromski.

Ale wróćmy do p. St. Bełzy. Pisz¹⁾: „Zorgani-
zowaliśmy tu nad morzem wcale niezłe szkolnictwo
polskie, dotarliśmy z książką polską, którą tępił prus-
sak jak zarazę, pod najstronniejszą strzechy włos-
ciańskie, przeprowadziliśmy do najodleglejszego krań-
ca tej ziemi, Helu, tak niezbędną linię kolejową,
a przez wzmoczenie ruchu turystycznego w te strony,
zainteresowaliśmy bezcennem tem wybrzeżem całą
Polskę, ułatwiając i obcym zaniechaną dawniej ko-
munikację“.

Jak rzadko padają takie dobre, kochane słowa!

A dalej: jest w pow. miasteczku Jędrzejowice (woj.
kieleckie) dom w rynku, zakończony baniastą kopułą.
Mieszka w nim doktor powiatowy, p. Przypkowski,
który ukochał gwiazdy. Własnym kosztem urządził
obserwatorium astronomiczne, w największy w Polsce
zbiór zegarów słonecznych i dzieł
specjalnych zaopatrzone. Dr. P. wy-
kłada kosmografię w gimnazjum
jędrzejowskim, zaciągnawszy mło-
dzież do obsługi obserwatorium
swego²⁾.

Druga to już w dziedzinie
astronomji placówka, zdobyta krwa-
wym wysiłkiem prywatnym. O pier-
wszej stacji na szczycie Łysicy,
gdzie odkryto niedawno słynną
kometę Orkisz, pisał „Bluszcz“
w swoim czasie.

Są „twardopancerne“ mrówki
rodu człowieczego.

Radjo prasowe sygnalizuje o
wyjeździe do Brazylii p. Michaliny
Isaakowej w celach entymologicz-
nych.

Był sobie w naszym zadymio-
nem, partykularnem Zawierciu prze-

mysłowiec, czy może urzędnik — „manjak“, który po
za pracą na chleb zbierał owady. W ciągu strudzo-
nego życia powstały gabloty zaopatrzone w 20000
sztuk, ugrupowanych z naukową systematycz-
nością. Wdowa po wielkim dziwaku odziedziczyła
kult cudnoskrzydłych tworów przyrody. Ponieważ
zbiory męża obejmują przeważnie okazy krajowe, po-
stanowiła je uzupełnić. I oto po kilku latach zapobie-
gliwego ciulania groszy, przy pomocy pewnych grup
zapalonych entymologów, wyruszyła do Ameryki po-
łudniowej, gdzie w okolicach Rio-de-Janeiro, Parany
i nad rzeką Amazonką są najpiękniejsze motyle.

Przez lądy i morza, góry i dziewicze lasy, pełne
zasadzek, zmij, węzów jadowitych, dąży ta dzielna
kobieta do celów umiłowanych. Zbogacą się gabloty
nasze cudem okazów podzwrotnikowych. Zatriumfuje
tężyzna ducha kobiecego.

* * *

Ważnem dokonaniem w dziedzinie zadań pań-
stwowych rozbrzmiała prasa. Wykreślono już i ozna-
czono stałymi znakami granice Polski od wschodu i za-
chodu. Na ukończeniu jest wyznaczenie granic pol-
sko-czesko-słowackich, trwające od 1921 r., a połą-
czone z niebywałymi trudnościami. Trzeba było prze-
dzierać się przez skaliste grzbiety Tatr. Trzeba było
w Beskidach budować mosty i drogi dla przewozu
kamieni. Trzeba było — na linii dawnych okopów —
uporać się z zasadzką min i nierozpękłych granatów.
Deszcze, śnieg, wichura psuły robotę. Jednak już do-
kończono jej prawie.

Jeszcze tylko parę spraw drobniejszych, a zam-
knięty zostanie bilans jednego z najtwardszych zało-
żeń państwowych i przytem, jeden z najciekawszych
rozdziałów w księdze politycznych naszych rozrachun-
ków. Świadectwo, że jednak umiemy, gdy chcemy,
zdobyć się na ogień — nie słomiany.

* * *

W czasie letnim zwiedzała politechnikę warszaw-
ską, wycieczka profesorów i inżynierów, prawie ze
wszystkich krajów europejskich, Prof. Fr. Mauro z po-
litechniki medjolańskiej stwierdził, że żadna politech-
nika włoska nie dorówna uczelni warszawskiej pod
względem ilości, zróżniczkowania i zasobności pracowni.
Podziwiano wysiłek osobisty profesorów, dzięki któ-
remu, w tak zadziwiająco krótkim czasie, bo po 1920 r.
dopiero stworzono tyle i tak niezmiernie doniosłych
placówek badawczych. Ogólna liczba laboratoriów
wynosi 156, przy kilkuset ludziach, oddanych wyłącz-
nie pracy naukowej. W naszych warunkach cyfra to
imponująca.

* * *

Zdobyczą ostatnich miesięcy
jest powstanie pierwszego kolejowe-
go Biura badań psychotechni-
cznych. Zakłady takie, roz-
powszechnione we wszystkich kra-
jach cywilizowanych, mają na celu
badanie uzdolnień zawodowych
danego pracownika. Wielu pomyłek
i nawet katastrof pozwoli uniknąć
takie biuro badań, odrzucając ko-
lejowców ze złym słuchem, złym
wzrokiem, słabych fizycznie, nie-
zdolnych do obsługi technicznej³⁾.



¹⁾ Kur. Warszawski Nr 228 z r. b.

²⁾ Nowy Kurjer Polski Nr 195.

³⁾ O wielkiej doniosłości badania
zawodowego pisał „Bluszcz“ z powodu pracy
Clapere'de'a, przełożonej na polski przez
p. Marię Sokalową.

Tak więc dźwigamy się powoli — krok za krokiem — na drodze postępu.

Dużą żywotność wykazuje naród polski na wychodźstwie, organizując się w stowarzyszenia i związki, wydając dosyć liczne pisma. Liczba ich wynosi 147, w czym na Stany Zjednoczone przypada 86 organów, ukazują się coraz częściej wydawnictwa propagandowe o Polsce, zwłaszcza we Francji, gdzie Tow. przyjaciół Polski rozwija działalność nawet w Algierze. Przyjmujemy coraz więcej zawodowych wycieczek zagranicznych i wysyłamy je sami, co jest najskuteczniejszym środkiem propagandowym.

Podkreślić należy z naciskiem wybitne podniesienie się zdrojowisk naszych, zwłaszcza w ciągu ostatniego sezonu. Dużo tu jeszcze braków i zaniedbań w każdej dziedzinie naszego zbiorowego życia. Co krok, jakieś niepodjęte zadanie, porzucona pla-

cówka, przerwane zapoczęcia. Po kilka złych kart w kronice naszego bytu, na jedną dobrą. Ciągły wstyd. Drogi na bocznych gościńcach nie do przebycia. Zlekceważona haniebnie komunikacja pocztowa na wsi w b. Królestwie. Wszędzie brud, niechlujność, lenistwo. Wszędzie wołająca o pomstę administracja — publiczność dla urzędnika, nie urzędnik dla publiczności...

Wszędzie brak organizacji. Nieuzyskane źródła przemysłu. Ciągłe — niedopatrzenia, przeoczenia rzeczy ważnych. Dancing na wulkanach. Byle jaka robotą, aby przeżyć. Nieoględność, nieobowiązkowość — jeszcze, jeszcze, jeszcze. Wszystkie rzeczy główne. Mnóstwo mniejszych.

Jednak — dźwigamy się. Powołuśku, powołuśku, ale zawsze coś. Przecież raz kiedyś będzie koniec naszym zaniedbaniami.

C. W

TEODORA MĘCZKOWSKA

PRACA DOMOWA UCZNIĄ

Pierwsza grupa przyczyn kryje w sobie, niewątpliwie, czynniki najpoważniejsze. Sposób, w jaki odbywa się zadawanie lekcji na dzień następny, musi ulec zmianie. Pomijam już te wypadki, dziś jeszcze, niestety, dość liczne, kiedy nauczyciel po dzwonku, wśród hałasu, poruszającej się z ławek młodzieży, wykrzykuje numery zadań matematycznych lub daje wskazówki co do ćwiczeń z gramatyki lub stylistyki, zatrzymam się jedynie na mniej rażących sposobach załatwiania sprawy.

Nie ulega wątpliwości, że dotąd jeszcze nie wszyscy nauczyciele stosują w praktyce zasadę, która teoretycznie jest im dobrze znana, w myśl której zadawanie lekcji na dzień następny musi być częścią lekcji, prowadzonej przez nauczyciela w klasie. Przyczem im klasa jest mniejsza, im mniej zadaje jej się do domu, tem więcej czasu i miejsca zajmować musi t. zw. zadawanie, tem dokładniej i precyzyjniej należy przeprowadzić tę część lekcji. Przy dzisiejszych metodach nauczania opracowywanie nowego tematu, dyskusja z uczniami zajmuje często całą godzinę, wskutek czego nawet dobremu nauczycielowi często nie starczy czasu na zebranie, zcalenie, i jasne sformułowanie osiągniętych wyników. W takich razach sam fakt, że lekcja była prowadzona prawidłowo pod względem metodycznym, nie zmniejsza zarzutu, jaki jej postawić należy, a którego skutkiem staje się, że dla znacznej części uczniów główna treść lekcji nie jest wystarczająco jasna, przejrzysta, że na pytanie „o czym była mowa na lekcji?“ uczeń w godzinę lub dwie po lekcji, czasem nawet zaraz po lekcji, nie jest w możności dać żadnej odpowiedzi, a więc, co zatem idzie, nie jest w stanie wykonać w domu prac z lekcją związanych, jak np. nie potrafi napisać streszczenia lekcji, planu, lub nie umie odszukać w książce, lub podręczniku tematu lekcji.

Nauczycielowi nie wolno zapominać o tem, że dla przeciętnego ucznia nie jest rzeczą łatwą wyodrębienie przewodniej myśli lekcji, że w tej pracy należy mu systematycznie dopomagać zarówno przez akcentowanie wielokrotne na samej lekcji momentów najważniejszych, jak również następnie przez odpo-

wiednie streszczania i powtarzania. To też lekcja, która nie zaczyna się i nie kończy się tem, że sami uczniowie uświadamiają sobie dokładnie cel, do którego dążyli, jeżeli jest nawet skądinąd dobrą, ma tylko część tej pedagogicznej wartości, którą mieć powinna. Zcalenie rozproszonych szczegółów, powtórzenie treści głównej, przerobionego materiału musi mieć miejsce na tej samej lekcji, a nie na następnej, jak to się często zdarza. Dziś jedna lekcja, lub co gorzej szereg lekcji jest poświęcony opracowywaniu z uczniami nowego materiału, drogą wykładu, następna zaś lekcja, lub znów szereg lekcji następnych powtarzaniu przerobionego materiału, inaczej mówiąc egzaminowaniu poszczególnych uczniów, w celu stwierdzenia, czy opanowali mniej lub więcej pamięciowo fragmenty danego przedmiotu nauczania.

Przez taki układ pracy, zwłaszcza w tych wypadkach, gdy lekcje, poświęcone opracowywaniu nowego materiału, są względnie dobrze prowadzone i nie polegają wyłącznie na wykładzie, wytwarza się pewna dwoistość. pewien brak konsekwencji metodycznej, która sprawia, że uczeń „jest wyrwany“, „odpowiada lub nie odpowiada“ jak za dawnych czasów i przygotowuje się do tego aktu odpowiadania też w ten sam sposób, jak to czynili jego dziadkowie, to znaczy „obkuwa“ lekcję w domu, w sposób jaknajmniej odpowiedni.

Takiej dwoistości i niekonsekwencji łatwo byłoby uniknąć, gdyby lekcja jako jednostka metodyczna składała się normalnie z podawania nowego materiału naukowego w tej, czy innej formie i utrwalania go przez odpowiednie ćwiczenia i powtórzenia.

Za taką metodą pracy przemawia i względ na ekonomję czasu, bo, niewątpliwie, na przetrwanie danego materiału, bezpośrednio po objaśnieniach nauczyciela, uczeń zużyje o wiele mniej czasu, niż na opanowanie tego samego materiału po upływie kilku godzin, lub kilku dni. Uczeń, który już na samej lekcji był zmuszony do obserwowania, badania, wnioskowania, który na tejszej lekcji musi uświadomić sobie wyraźnie cel, do którego dąży i w związku z tem ująć

w formę ścisłą główną treść lekcji, po przyjsciu do domu będzie wiedział, co czynić należy, aby być przygotowanym do lekcji na dzień następny.

Praca jego sprowadzi się wówczas nie do „obkucania“, nie do mechanicznej reprodukcji z podręcznika lub notatek, jak to ma miejsce dzisiaj, lecz do powtórnego rozejrzenia się w przerobionym materiale, uzupełnienia go w pewnych razach koniecznymi szczegółami, a wreszcie do opanowania i udoskonalenia formy językowej, w jaką ma być ujęty.

Wszystkie, powyżej wymienione uwagi nabierają tem większego znaczenia, im niższą jest klasa, z którą nauczyciel ma do czynienia, im młodszy są uczniowie, którym się lekcje zadaje. W niższych klasach bowiem sprawa uczenia się w domu, sprawa t. zw. odrabiania lekcji musi być otoczona specjalną opieką i wykonywana niezmiernie starannie.

W ścisłym związku z t. zw. odrabianiem lekcji w domu pozostaje sprawa podręczników.

Nie ulega wątpliwości, że uczeń w pracy domowej musi nauczyć się posługiwać książką, jako jednym z najważniejszych narzędzi pracy umysłowej, a zadaniem nauczyciela wszystkich przedmiotów jest zaprosić go do tej pracy, wyrobić w nim należyta technikę tej pracy. Sprawa ta, dzięki może pewnym nieporozumieniom, jest dziś nieco fałszywie stawiana.

Poglądy, wypowiedane w ostatnich latach w sprawie podręczników, nie mogą w żadnym razie upoważniać do wniosku, że, ogólnie biorąc, podręcznik szkolny jest rzeczą zbędną. Przeciwnie, nie może ulegać wątpliwości, że dobry podręcznik jest zawsze potrzebny, ułatwia on bowiem pracę zarówno nauczycielowi jak i uczniowi. Nie można godzić się na to, aby uczeń z podręcznika uczył się „stąd“ „dotąd“, ale należy żądać od niego, aby umiał wczytać się w treść zadanej lekcji, zastanowić się nad sposobem, w jaki ta treść została ujęta, a może nawet w pewnych wypadkach, zwłaszcza w klasach starszych, dopatrzyć się różnicy między tem, co było na lekcji opracowane, a co znajduje się w podręczniku.

Taki pogląd na rolę podręcznika nie tylko nie jest sprzeczny z zasadniczymi postulatami dydaktyki, lecz jest ich prostym i konsekwentnym wynikiem.

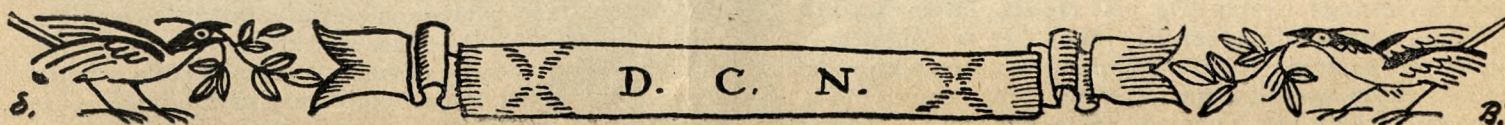
Zwłaszcza w życiu umysłowym uczniów klas starszych musi książka wogóle, a podręcznik w szczególności, odgrywać poważną rolę, stosunek bowiem ucznia do książki, umiejętność obchodzenia się z książką, życie się z nią jest świadectwem wyrobienia umysłowego i umiejętności pracy. Uczniowie nie przyzwyczajeni do tego gatunku samodzielnej pracy gubią się, gdy mają odczytać z podręcznika treść nawet dobrze im znaną, nie mogą wybrnąć z sytuacji, jeżeli np. figura geometryczna oznaczona jest innymi literami niż to miało miejsce na lekcji lub jeżeli rysunek jest podany w formie nieco zmienionej. W ostatnich latach byłam świadkiem takiego zdarzenia, kiedy nauczyciel po opracowaniu z fizyki pewnego zagadnienia i przekonaniu się, że jest ono dla uczniów jasne, polecił przeczytać odpowiedni rozdział z fizyki Kalinowskiego i zdać z tekstu przeczytanego sprawę. Wyniki tej pracy okazały się jaknajgorsze, a odpowiedzi dawane przez uczniów stwierdziły, że nie byli

w stanie skupić uwagi na przeczytanym tekście i pokonać tych nielicznych trudności, jakie się nastęrczały.

Ta nieumiejętność obchodzenia się z książką sprawia, że uczeń dzisiejszej szkoły, odrabiając lekcje, przekłada wszelkie inne rodzaje pomocy nad książkę, ma wielkie zaufanie do notatek swoich i notatek kolegów, z notatek uczy się lekcji w czasie pauzy, a przez myśl mu nie przejdzie, że jeżeli się czegoś nie pamięta lub nie rozumie, to właściwie należy przede wszystkim zajrzeć do tej czy innej książki, poszukać, poszperać i wreszcie znaleźć to, o co chodzi. Skutki takiego niechętnego stosunku do podręcznika w szkole nie pozostają bez wpływu na ukształtowanie się w życiu późniejszym młodzieży stosunku do książki naukowej, bo ten, kto w szkole nie nauczył się obchodzić z podręcznikiem lub książką pomocniczą, nie będzie umiał poradzić sobie z książką naukową wogóle. Nie ulega wątpliwości, że źle interpretowany pogląd na rolę podręcznika w szkole i nieposługiwanie się nim przez kilka lat ostatnich zwłaszcza w niektórych szkołach, odbiło się ujemnie na zamiłowaniu młodzieży do czytania wogóle. Niestety, brak danych statystycznych, ilustrujących stan czytelnictwa w dawnych szkołach polskich nie pozwala na przeprowadzenie porównań ze stanem czytelnictwa w chwili obecnej, wobec czego sąd o tej sprawie może być wypowiedziany jedynie na podstawie osobistego doświadczenia, wynikającego z bezpośredniego zetknięcia się z młodzieżą dawnych i obecnych szkół. Doświadczenie to upoważnia do stwierdzenia, że młodzież czyta dziś mało, mniej niż dawniej, że zwłaszcza książka poważna, naukowa nie zajmuje w jej życiu tego miejsca, które zajmować powinna, jeżeli rozwój umysłowy młodzieży i jej wyrobienie życiowe ma iść drogą normalną i we właściwym tempie. Ten stosunek do książki wywiera pośredni wpływ i na całokształt budżetu życiowego.

Kto z budżetu tego usunie tak pożyteczną i miłą rozrywkę, jak czytanie książki, ten, niewątpliwie, zmuszony jest lukę tę wypełniać mniej a czasami nawet mało godziwymi rozrywkami, których nie będzie szukał człowiek, znajdujący przyjemność w przeczytaniu ładnej lub mądrej książki. To też szkoła, która uczy różnych umiejętności, ale nie nauczy swego wychowanka umiejętności mądrego czytania i rozsmakowania się w dobrej książce nie spełnia jednego z najważniejszych obowiązków.

Jeszcze do niedawna stosowanie w nauczaniu książki utrudniał brak odpowiednich książek pomocniczych i podręczników, dopasowanych do współczesnych programów. Obecnie jednak sytuacja pod tym względem polepsza się, liczba bowiem dobrze opracowanych książek pomocniczych i podręczników do użytku szkolnego powiększa się z roku na rok. Jednocześnie daje się stwierdzić fakt, że z chwilą wprowadzenia do szkoły dobrego podręcznika z danego przedmiotu poziom naukowy klasy z tego właśnie przedmiotu podnosi się, a liczba lekcji nieprzygotowanych, ocen niedostatecznych i t. p. zmniejsza się. Nie trzeba chyba dodawać, że i praca nauczyciela staje się normalniejszą, łatwiejszą, nie zmusza go do pokonywania zupełnie zbędnych oporów, związanych z brakiem podręcznika.



MACIERZANKI

*Wiatr umęczony usnął, nie szurszy trawami,
południe w suche osty dmucha, jak w organki.
Słońce się roztopiło i spływa kropkami
na mnie, na szary piasek i na macierzanki.*

*Pachnie lekko i miodnie, gorzko i smoliście,
żywcem spalane kwiaty pachną wniebogłoso.
Skłęcają się i dymią fioletowe liście,
błyszcząc kropkami potu, jak kropkami rosy.*



*Krew się w lepki miód zmienia i płynie powoli,
głowa spada płonąca w przepaść aromatów,
słońce leży na ustach i tak słodko boli,
parzą gorące ciało suche listki kwiatów.*

*Jestem drugim upałem, który słońce zetrze,
brązową miękką skórą, którą żar wysusza,
dłońmi wyrzuconemi w skwar, w radość, w powietrze —
Nie mam zupełnie duszy — I pocóż mi dusza?*

ZYGMUNT KISIELEWSKI

MŁODZIENIEC

(Nowela)

Wypiwszy ostatni łyk herbaty, zerwał się Henryk Wiśniewski i zakomenderował:

— Jasiu, plecak na grzbiet i jazda! Ósma godzina. Nie guzdraj się, niezdaro!

Kolega Wiśniewskiego, również student politechniki warszawskiej, posłusznie wykonał rozkaz, wziął narty, kiję i wyszedł przed schronisko.

Mimo późnego grudnia, śnieg nie leżał zbyt grubą warstwą, o ile z powodu mgły wogóle można było coś stwierdzić. Gdyby bowiem nie pewność, jaką mieli obaj młodzi narciarze, że znajdują się na Hali Gąsienicowej, ponieważ wczoraj przywędrowali tu z Zakopanego, tak samo dobrze mogli byli sobie wyobrazić, że stoją na Antonówce lub zgoła nawet w jakimś Kaczym Dole. Majaki rzadkich smereków mogły ująć doskonale za mazowiecki jałowiec,

Wrażenie to narzuciło się Janowi Sowie z tak nieodpartą siłą, że je zakomunikował swemu przyjacielowi.

— Wiesz, Heniek? Gdyby mi ktoś wmawiał, że jesteście gdzieś pod Warszawą, nie potrafiłbym go przekonać, że się myli.

— Tobie zawsze jakieś głupie myśli przychodzą do głowy. Przypasuj narty i wio! Ósma godzina. O czwartej, piątej musimy stanąć w Morskiem Oku,

— Może być!

— Mówię ci, że będziemy, to będziemy. Nie znośę mędrkowania. Ja znam Tatry. Teraz toniemy we mgle, a niewiadomo, czy za pięć minut nie będziemy się kapać w słońcu.

— Niewiadomo.

— Prędej, bo zimno! — popędzał Wiśniewski flegmatycznego kolegę, który coś tam jeszcze majstrował przy wieźbie narty. — No, nareszcie! Trzymaj się pięć kroków za mną, żebyś się nie zgubił! Naprzód!

Wiśniewski odepchnął się kijem, a wnet jego postać wysoka i chuda, z garbem plecaka z tyłu, wsiajkając w mgłę, wydała się Sowie niby widmo zaświatowe błędzące w szaro-białej pustyni bez światła i nadziei. Przeżegnawszy się, pchnął się w ślad za nim.

Teren nie należał do najwygodniejszych, gdyż narty raz wraz szorowały z szorstkim chrobotem o głazy i korzenie, albo plątały się w gałązkach kosówki. Trzeba było wtedy dźwigać ciężkie drewno narty i całą uwagę skupić, aby go nie strzaskać.

Wiśniewski nie odwracając się wołał od czasu do czasu: — Hallo! — Jasiu!

— Hallo! — Idę! odhukiwał mu Sowa.

Zresztą posuwali się w milczeniu. Sowa, pochłonięty robotą przewycięzania opornego terenu,

troskę o kierunek i cel wyprawy pozostawiał przyjacielowi, który już niejednokrotnie przedsięwziął zimowe wycieczki w Tatry. Więc wyteżając wzrok uczył się wymijać rudawe kępki ziół, wysterczających z pod śniegu, nieustępliwe, gburowate łby głazów i złośliwe krzaki kosówki. Z początku nie zważał na to, i ślizgał się albo zapadał w dziury, a raz to go jeden kamień tak rypnął w kolano, że mu nabił guza. Sowa aż syknął i usłyszał szyderczy śmiech Wiśniewskiego. To go rozzłościło. To też następne kamienie szpiegował już zdaleka, a że oko fałszywie mierzyło dystans z powodu mgły, kijem wymacał najpierw odległość i postawę wroga, poczem okrażał go z szacunkiem i zarazem z uczuciem triumfu, że mu się udało złą bestję oszukać. A gorzej jeszcze było ze śniegiem, który miękł, i narty nie suwały się wierzchem, ale wgniatały w zakalcowatą masę.

— Heniek! — zawołał wreszcie Sowa, stwierdziwszy, że wędrują już całą godzinę.

— Hallo!

— Gdzież to Liljowe?

— Gdzie? Na Liljowem.

— Nie widzę.

— Nie widzisz? Patrz ostro. Tam.

Wiśniewski machnął kijem przed siebie, sam oczywiście nie wierząc w to, że wskazuje dobrze, bo mgła oblepiła ich zewsząd. Ale w tej chwili zadumał się. Z morza mgieł wyłonił się cień gigantyczny, niby jakaś niezdarna piramida, i zawisała nad nim. Oko, przyzwyczajone do jednostajnego, białawego mroku mgły, uderzyło w zjawę, lecz odbiło się bezradne, zaskoczona, niezdolna do ogarnięcia jej. Płomyk lęku sparzył serce. Drażniąca niepewność rozlała się po tarczy świadomości, niby ciecz brudna na srebrzystej tacy. Wiśniewski zatrzymał się, wsparł na kijach i, dysząc ze znużenia, wbił oczy w olbrzyma, który stał się coraz cięższy i groźniejszy. Przez jeden ułamek czasu stracił władzę nad sobą. Wyszkolona wola pękła, niby obręcz ściskająca beczułkę, a wir myśli, uczuć, lęków, obrazów, szumiący nieustannie pod progiem świadomości, ugodził w świadomość, rozbijając ją na drobne kawałki. Wiśniewskiemu zdawało się, że zwarzjował. Zatracił wiedzę, gdzie się znajduje, kim jest i dokąd zmierza. Tak spłynął się i zjednoczył z mgłą, że przestał istnieć. Jedno tylko uczucie wiązało go z jednością osobistego istnienia: trwoga tchnąca nań z czarnego potwora, który, zdawało się, nachyla się tuż nad jego głowę. Otwarł usta i, szcękając zębami, trwał, wpatrzony w niepojęte widmo, przychodzące niewiadomo skąd, zagrażające mu czemś nieznanem i przerażającym.

— Gdzie? — dopytywał się Sowa o Liljowe, zbliżwszy się do przyjaciela.

— Co to jest? — wybełkotał Wiśniewski, wskazując na czerniejący cień.

— Pewnie jakaś góra pokazuje się z mgły — powiedział Sowa.

Wiśniewski, który na te słowa odrazu powrócił w obręb znanej sobie rzeczywistości, wybuchnął hałaśliwym śmiechem: — Tak, no tak. A to ze mnie idjota. Przecie to Kościelec! Ha! ha! ha!

W tej chwili dmuchnął wiatr i mgły, jak spłoszone, natychmiast porwały się, zwinęły w kłęby, sformowały w podługowate tumany, potargały w strzępy, kosmyki, warkocze i w nieprzytomnym pędzie jęły uciekać na wsze strony. Słońce, zjawiwszy się nagle, zaczęło w nie szyc oślepijącymi pociskami swych promieni, lawiną światła zalewało gniazda górskie nad Czarnym Stawem, rozsrebrzyło śniegi na graniach, płoniło się na różowych obłokach, pełzających po

wierzchach, odsłoniło ponure, czarne łany borów, ukazało na niebie nieskażone zatoki najczystszej błękitu, fioletem igrało w żlebach.

Sowa olśniony obracał oczy zachwycone, wołając: — „cuda! cuda!“ Radość ekstatyczna drgającą falą wlewała się w serce. Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego warto było drugi już dzień męczyć się w tych górskich.

Kiedy nagły zamęt dokołny pozwolił zorjentować się w sytuacji, ujrzał przedewszystkiem, że są twarzami obróceniu wprost na Kościelec, którego piramidalna turnia lśniła miejscami lodowem szkliwem, powlekającym jego na pozór gładko ścięte ściany.

Wiśniewski, śmiejąc się wciąż, pogroził kijem Kościecowi; — A ty łotrzel! — Ale w duszy mrknął hardo: — Nie lękam się ciebie, ani twoich braci wierzchów i sióstr przełęcz, słyszysz? Dojdę tam, dokąd postanowiłem dojść. I zwróciwszy się z ironicznym uśmiechem do Sowy rzekł:

— Nie gadałem ci, ceprze jeden, jak to bywa w Tatrach? Teraz już chyba wiesz, że nie wędrujemy po bagnach mazowieckich.

— Ale patrzaj-no, Heniek! — zawołał Sowa ogromnie zadziwiony.

— Nie mam czasu na gapienie się. Już pół do dziesiątej. W drogę.

— Właśnie, ale my jesteśmy prawie przed schroniskiem.

— Co ty tam pleciesz!

— No więc spojrzaj, Heniu...

Wiśniewski obejrzał się, lecz aby ukryć zmieszanie, krzyknął zaraz: — jazda! jazda! — i skreślił w łożysko Suchej Wody.

Zgubiwszy się w mgłę, błądzili istotnie w ciągu półtorej godziny w odległości paruset metrów od schroniska.

— O tym czasie mieliśmy już przecie stanąć na Liljowem — wołał Sowa.

— Nadrobimy jeszcze, nie bój się! Tylko żwawo naprzód!

Droga na Liljowe odsłoniła się zupełnie. Wprawdzie mgły przeganiały się i włóczyły po żlebach i halach obwąchując narciarzy niby sfory białych wyłłów, ale pękła ta głucha, nieprzejrzysta ściana, która ich dotąd zamykała. Pierwszy etap drogi leżał jak na dłoni. Między płaskim dachem Beskidu, a przetrąconą na dwoje granicą Pośredniej Turni ciągnął się łagodny, niemal równy grzbiet Liljowego. Tylko „hipnąć“ i już! Na razie jednak trudności mnożyły się. W miarę wznoszenia się w górę wyglądały z pod szaty śniegowej całe połacie ziemi nabitej gruzami głazów, nastroszone paściami kosówek i zdradnych korzeni. Trzeba było zgrabnie manewrować, zataczać koła, piąć się zygziem, skakać, wyszukiwać jęzory najgrubszego śniegu.

I tak w pocie czoła minęła znowu godzina, a Liljowe wciąż leżało, jak na dłoni. Ino „hipnąć“ i już! Narciarze zziązani, wlokąc się pracowicie, pasowali się w milczeniu z nieoczekiwanymi przeszkodami. Wiśniewski co chwila łapał za zegarek i zaciskał szczękę. Mierzyły go nieprzyjemne kudły kosówek ledwie, ledwie przyprószone śniegiem, obrzydzeniem nłapełniały wysepki rudej trawki, wściekały głazy i korzenie. Tyle roboty z tak nikczemnym wrogiem! Zamierzał wykonać rekordowy marsz, o którym każdy tatarnik musiałby słuchać z uznaniem — a tu babraj się, jak dżdżownica w błocie. Co sobie pomyśli Jasiiek?

Ale Jasiiek nic nie myślał. Zajęty walką z oporem najłatwiejszego w zasadzie terenu, sunął za swym przewodnikiem z cierpliwym spokojem, mały, błądny i jak zwykle apatyczny na oko i obojętny. (d. c. n.)

PAOLO MANTEGAZZA

JEDEN DZIEŃ NA MADERZE

(KARTKA Z HIGJENY MIŁOŚCI)

Podczas gdy cierpię ból, dla którego brak imienia, ból który winienby zatopić się w płaczu bez słów, w szale samozatracenia, wola Anglika usiłuje przezwyciężyć cierpienie, nadać mu kształt myśli wzniosłej i sztuki, i odszukać piękno w głębi rozdartego wnętrza Emmo, Emmo, pani rozumiałaś to wszystko, pani mogłaś dać mi kierunek i znaleźć tajemnicę sprężnięcia tych sił, bym stał się, żywy paradoks, człowiekiem dobrym i pożytecznym.

Czemu chcesz targnąć się na siebie, czemu zapragnęłaś samobójstwa?

Ty wiesz, Pani, we mnie niema pychy. Dusze nasze zespolone, a serca uderzają tem samym tętnem, Twoje tchnienie szuka mego. Zabijając Williama, zadajesz śmierć samej sobie. Czemu chcesz umrzeć, Ty, taka młoda, piękna i szlachetna? — Czemu pragniesz śmierci dwóch istot, które, połączone z sobą, byłyby tak szczęśliwe, iż błogosławiłyby godzinę, kiedy przyszły na świat, i Twórcę, że ich wzajem sobie przeznaczył? Jakież słowo i jakie zaklęcie zdolne jest wyjaśnić tę okrutną tajemnicę? Staję się przesądny, wydaje mi się, iż jestem w jakiejś pieczarze, zimnej i wilgotnej, i drżący oczekuję od sybilli, której nie widzę, czarodziejskiego wyrazu, wyroku swego przeznaczenia. A więc istnieje los, a wraz z nim i zaklęcie, czary i magja, i cisza nieubłagana gontyny i słowo, co zabija bez sądu? Jestże niewidzialny miecz przeznaczenia, spadający na głowę, bez prawa i bez powodu, budząc szyderstwo cynika, i złorzeczenia przeciwko życiu, przeciw przeznaczeniu i Bogu?

Jakże to nie stałem się szalony? Czemu nie mogę umrzeć? A gdybym był nawet z ostatnich ostatni, najniezwyklejszy i najbardziej wzgardzony z ludzi, jestem wszak człowiekiem, i Pani, kobieta, winna wyciągnąć dłoń ku cierpiącemu, tak bardzo cierpiącemu. — Bądź łaskawa dla swej ofiary przed oddaniem jej oprawcom, obdarz ją jednym jedynym słowem.

Ja nie proszę o miłość, nie błagam o litość, jeno o jałmużnę jednego słowa. Odpowiedz Pani na mój ostatni list. Trzy dni upłynęły, jak pisałem, rozumie Pani, co znaczy: trzy dni? Trzy dni i trzy noce, trzy doby od chwili gdy przeczytałem, że nie możesz być moją! Prawo obecne uznaje jeszcze karę śmierci, lecz skazanemu odczytuje się wyrok i wie on, za co traci życie. Czyż miałbym być traktowany gorzej od mordercy, srożej od ojcobójcy?

Od trzech dni ma Pani mój list i potrafiłaś milczeć przez trzy dni? Nie jesteś zatem kobietą... nie jesteś wogóle człowiekiem? Musiała Pani chyba umrzeć, to niemożliwe byś była żywa, wiedząc, że o kilka kroków od Ciebie, w pobliżu Twego domu i ogrodu męczy się istota, będąca częścią Twojej własnej istoty, że kona z wyczerpania, a nikt nie otwiera drzwi, by ją ocucić. Tak, musiałaś umrzeć, miss Emmo. Nędzny jestem, nędzny, zaklinam Cię na imię Twego ojca, którego ciągle wspominasz, a którego ja nienawidzę, jak nienawidzę Ciebie, i wszystkich ludzi, świat cały... na imię Twego ojca błagam o jedno słowo...

Emma do Williama

Londyn, 18 stycznia 18...

Na pamięć mego ojca, przez Ciebie znienawidzonego, na miłość „pańską” ku mnie, zapomnij o mnie!

Czyż nie wiesz, że i ja cierpię, że i ja złorzeczę losowi który nie jest majakiem fantastycznym naszego mózgu, lecz istnieje ponad nami i silniejszy od nas? Nędzne krople bezkresnego morza, jemu winniśmy swe radości i swe cierpienia. Obowiązek istnieje przedewszystkiem, a ludzkości winni jesteśmy ofiarę z swych łez i krwi. Istota przelotna niema prawa gasić słońca, by ogrzać siebie i gniazdko swej miłości.

Williamie, zapomnij o mnie, spełń obowiązek, uczynź rzecz szlachetną, wspaniałomyślną, wielką i ja uczynię to wraz z Tobą. Węzeł świętego obowiązku złączy nas na całe życie. Pamiętaj zresztą o swej Emmie, lecz kochaj inną kobietę. Miłość to nie całkowity człowiek, ponad nią jest obowiązek, ponad nią jest wielkość ofiary i szczęście społeczności. Wszystkie stworzenia kochają, wszystkie pragną miłości, lecz tylko człowiek może zgasić swą miłość, aby stać się wielkim i wzniosłym.

Zgasz Wezuwusz, Williamie, i bądź pan znowu Anglikiem. Ja cierpię niemniej od ciebie, lecz potrafię być spokojna i otrzeć łzy, by nie padały na ten papier i nie trawiły cię żywym ogniem, drogi mój przyjacielu. Pan wiesz, jestem w każdym calu Angielką, a przytem i prócz tego, mój Williamie, ja zawsze cierpiałam, jestem mistrzynią cierpienia, pan zaś buntujesz się przeciwko nieszczęściu, ponieważ jest to Twój pierwszy ból. Wiem to, że jest wielki, beznierowny, lecz ja tyle już lez wylałam i tyle cierpiałam, że życie wydaje mi się już bardzo długie.

Ale to cierpienie jest największem cierpieniem mego życia, przygniata mnie, odbiera wszystkie siły, zabija. Czyż nie dość ci tego, Williamie? Nie dość jeszcze? Chcesz wiedzieć więcej?

Ja sama nie czułam w sobie odwagi do walki, i w ciągu tych trzech dni milczenia, kiedy wyobrażenia pańska narzucała mi dręczycielskie zamiary, szukałam i błagałam głośno pomocy. Pocziwa ciotka płakała wraz ze mną, lecz i jej zbywało na siłę, o którą prosiłam. Po dwóch dniach rozterki zebrałam jej tyle, by udać się do starego lekarza mego ojca, którego rady miałam zasięgać w najważniejszych chwilach życia. Otóż zacny ten staruszek, spędziwszy ze mną cały dzień, polecił mi opuścić Anglię. I gdy otrzyma pan ten list, będę już na kontynencie. Nie pytaj, dokąd skieruję swe kroki. Proszę tylko pozostawić u mnie słówko, świadczące, że jest mi pan posłuszny, że uczynisz wszystko, aby o mnie zapomnieć i być mi bratem. I przysięgnij mi jeszcze, Williamie, że nie będziesz mnie pan szukał, ani też do mnie pisał.

Żegnaj! Nie trwoń swej młodości, swych sił i zdolności na tej bezpłodnej drodze, która musiałaby przywieść Cię do rozpaczki. Zbyt słabi jesteśmy, aby walczyć ze wszystkimi. Niechaj życie nasze nie stanie się przekleństwem. Spójrzij wokół siebie, ileż rzeczy trudnych możesz dokonać, ile zdobyć wielkich prawd; pracuj i pocieszaj, krzep upadających, siej radość i dobroć.

Czyń to wszystko z miłości ku mnie, dla miłości swej siostry Emmy.

William do Emmy

Tak, będę żył, gdyż Ty mnie kochasz, będę żył, bo nie przestaniesz mnie kochać, lecz nie zapomnę

o Tobie nigdy, przysięgam! Kocham Ciebie jedną, skarbie mój, bóstwo i świecie cały!

William do Emmy

San Terenzo, 20 Kwietnia 18...

Siostrzo moja, przeklnij mnie, lecz wysłuchaj. Nie mogę oprzeć się chęci powiedzenia Ci odrazu, że jestem tu, blisko Ciebie. Radość to zbyt wielka, bym zdołał ukryć ją i przemilczeć. Widzę stąd dom, w którym mieszkasz. widzę zamknięte okna, poza którymi marzysz w tej chwili, lub wzdychasz. Dzielą nas jeno dwie palmy ogrodu, a liście ich, poruszane powiewem morskim, muskają miłośnię ściany Twej willi.

Przez całą noc nie zmrzyłem oka. Czy nie czujesz, że od wczoraj zmieniło się powietrze w San Terenzo? Taka radość mnie przepelnia, takem upojony gorączkowym szczęściem, iż zdaje mi się od wczorajszego wieczora, że wszyscy tę szczęśliwość moją spostrzegli. I (proszę się nie śmiać) przeglądałem się już dziesięciokrotnie w lustrze, czy to ja właśnie jestem owym człowiekiem, który nosi w sobie cały świat nowych i radosnych uczuć.

Osmieliwszy się złamać przyrzeczenie, nie widzę już ciężkiego dla siebie grzechu i śmiem, pisząc do Pani, naruszyć i drugie zobowiązanie. Lecz mam do powiedzenia tak wiele, że nie wiem od czego zacząć, i coś we mnie miota się i wre, nie dając myśli ani chwili spokoju. Raz po raz wzrok swój przenoszę z papieru na Twe okna i czuję, że dusza moja otacza ten cały dom atmosferą miłości i tuli, jak przedmiot święty i najdroższy.

Nie potrafię już utrzymać swych myśli w wierszach tego listu i pragnę, byś wiedziała bez zwłoki, że jestem tu, w San Terenzo. Chcę też byś odpędziła mnie daleko od siebie, lub, kładąc mi rękę na głowie, rzekła z uśmiechem: Williamie, bracie mój, przebaczasz ci.

Do widzenia, Emmo, idę wysłać list ten do Ciebie.

William do Emmy

San Terenzo. 20 kwietnia 18...

Wyszedłem, unosząc z sobą list. Serce biło mi jak mocno i czułem się tak podniecony, że gdybym był spotkał po drodze karabiniera, aresztowałby mnie widząc, iż zamierzam wykonać jakieś wielkie przestępstwo. I czy istotnie nie dopuściłem się już krzywo-przysięstwa?

Przeszedłem się przed Pani domem: był zamknięty; zamknięte były wszystkie okna, wszystko spało. Okrążyłem willę i w tem miejscu, gdzie ściana wznosi się nad dróżką polną, obejrzałem się i nie widząc nikogo dotknąłem ściany ustami. Czy nie odczuła Pani tego pocałunku? Uciekłem, jak po zabójstwie człowieka i w ciągu pół godziny przebiegałem samotne ścieżyny pośród gajów oliwkowych, wzburzony i zroszony potem, spoglądając to na willę, to znów na morze i niebo, póki zmęczenie fizyczne nie przyniosło nieco spokoju. Och, jak się to dzieje, że wątłe ciało ludzkie może zawrzeć w sobie tyle ognia, tyle niepokoju i życia, cały świat radości, walczący z innym światem — cierpienia?

Wróciłem do wioski drogą od strony morza. Kroczyłem lekko nad brzegiem wody i bawiło mnie, gdy lekka i biała koronka fal, jak gdyby całując, zacierala ślady stóp moich na delikatnym piasku. Jakież to czar gromadzi tylu ludzi na tem wąskim pasmie, dzielącym ziemię od morza, skończoność od nieskończoności, życie jednego dnia od wiecznych marzeń nadziei i tęsknoty?

Zapytałem, czy jest w San Terenzo poczta; powiedziano mi, że niema — listy trzeba zanosić do Lerici. Musiałem poszukać więc posłańca. Znalazłszy go, siadłem na przydrożnym murku, oczekując z zegarkiem w ręce powrotu małego rybaka bosonogiego, którego wysłałem z listem. Dwukrotnie zdawało mi się, że wskazówka zegarka nie porusza się i przykładałem go do ucha. Potem, zniecierpliwiony, zamknąłem oczy, skubiąc palcami łądygi mięty, która rosła obok, napełniając mocnym zapachem powietrze.

Och, Emmo, gdyby człowiek obojętny spoglądał na zakochanego, jakżeby ten wydał mu się śmieszny!

Wysłannik mój wrócił niebawem, skacząc z kamienia na kamień, lecz list mój trzymał jeszcze w rękach. Zamknąłem ponownie oczy, jak to czynią dzieci, sądząc, że w ten sposób nie będą widziane. Dowiedziałem się, że drzwi są jeszcze zamknięte, nie było zaś dzwonnka, by zbudzić śpiących. Sprytny posłaniec nie uznał się jednak za zwyciężonego i wspiał się na okratowanie parteru, lecz wszystko było zamknięte i nawet kota, jak mi powiedział, nie zauważył w kuchni. Przybiegł więc pytając, czy nie mógłby zapukać do drzwi kamieniem, żeby zbudzić tych państwa, co to śpią jak susły... dodał śmiejąc się i wykrzywiając swą twarz smagłą, żywą i zamorusaną. (c. d. n.)

Z. ZAWISZANKA.

CÓRKA BOGA

A ta, którą tak nazwano, rzuca się teraz na kolana, tonąc w ekstazie modlitwy, głośnej, namiętnej, ostatniej. To ufne wzywianie Boga w obliczu śmierci wstrząsa szlochom i drżeniem najbliższe szeregi świadków — a fala współczucia rozchodzi się po całym 10-o tysięcznym tłumie. Nawet kardynał Winchester i sam biskup mają łzy w oczach; członkowie sądu z ulgą opuszczają trybunę, gdyż obyczaj wzbraniał im patrzeć na egzekucję. Tylko jakiś najtwardszego serca, może pijany żołdak, potrafił zawołać wtedy.

— Hejże, klechy! Zali nam tu każecie południować?

Zachęceni tym okrzykiem niecierpliwości, dwaj

inni wpadają na trybunę, nie czekając formalnego wyroku władzy świeckiej — a wsadziwszy na głowę skazanej mitrę papierową z urągliwym napisem, wloką ją brutalnie na stos. Ona zaś błaga tylko o krzyż... jeden z żołnierzy daje jej z litości dwa drewnianki, naprędce związane, które włożyła sobie z czułością za szatę na piersiach.

Ze szczytu swego męczeńskiego piedestału, spogląda Joanna na lud francuski i z piersi jej wyrwa się krzyk:

— Ach Rouen, Rouen! barzo się lękam iżbys nie cierpiało kiedy za śmierć moją. Tymczasem zakonnicy przynoszą jej z kościoła wielki krzyż — a ona

tuli go [do] serca, obsypuje pocałunkami i prosi:

— Baczcież, niechaj go mam przed oczami aż do samego skonania!

Ladvenu stoi obok niej, starając się pocieszać i krzepić; w tem Joanna woła:

— Mistrzu Marcynie! zstępujcie — owo ogień.

Istotnie, kat zapalał już stos u spodu. Podobno kazano mu tak kierować płomieniem, aby najpierw spłonęły same szaty, obnażając ciało; chciano pokazać w ten sposób ludowi i wojsku, że ta, którą wielbili jedni, przed którą drżeli drudzy, to jeno zwyczajna kobieta...

Lecz ona tam, na wyżynach, w straszliwej walce duszy z ginącą materją, nie czuła może tej ostatniej zniewagi — i, uniesiona natchnieniem nowem, rzucała się, już na zawsze, w objęcia archaniołów. Słyszano bowiem wśród płomieni jej głos:

— Święty Michale! święty Michale! Nie, Głosy moje mnie nie zawiodły Bóg to mnie posłał! Wody, wody święconej!

A potem już tylko jęk:

— Jezu, Jezu, Jezul!

Z tem jednym imieniem na ustach, córka Boża oddała ducha nadziemskiemu swemu Ojcu.

W przerażeniu patrzano, jak kat, ukazawszy ludowi zwęglone zwłoki, daremnie usiłował w popiół je obrócić: serce pozostało nietknięte, mimo siarki i oliwy. Wielu płakało. Jakaś groza nadprzyrodzona zawisła nad tem miejscem i tłum rozpraszał się szybko, w pomieszeniu niezwykłym, powtarzając z ust do ust wieść o gołąbku białym, ulatującym do nieba z próśród płomieni.

— Oby dusza moja dostała się tam, kędy jest, jako mniemam, dusza tej kobiety! — westchnął w gronie przyjaciół kanonik Alépée.

Sekretarz króla angielskiego, Jan Tréssart krążył po ulicach, jak błędny, powtarzając; — Zgubieni my, bośmy spalili świętą!

Inni szeptali ciszej to samo, bojąc się kary. Nikt nie śmiał triumfować: nawet Winchester czuł widać, że cel pomsty chybiony, skoro kazał wrzucić coprędzej do Sekwany śmiertelne szczątki, by się nie stały przedmiotem kultu.

Odwieczne zabiegi najeźdców i katów, jakże śmiesznie daremne!

Zywiół, położony przez Boga między obu zwaśnionemi narodami — Ocean — wchłonawszy popioły Joanny d'Arc, stał się granicą nie do przebycia. Olbrzymi ten grób do dziś obiega lądy ziemi, rozlewny a niezniszczalny, jak wieść o jej czynach, coraz bardziej idąca w serca poprzez wieki, jedyna w uroku swym i potędze, niezapomniana.

XI. NIEŚMIERTELNOŚĆ CHWAŁY.

Sainte fut adree
Par les oeuvres, que fit —
.....
Arse a Rouen en cendre,
Donnant depuis entendre
Son revivre autrefois..

(jeden z poetów burgundzkich w XV w.)

„Zasłużony“ biskup zgarnął pocichutku judaszowe srebrniki (suma, którą wynagrodzili Anglicy jego gor-

liwość, stanowiła na owe czasy pokaźny majątek) — lecz o arcybiskupstwie Rouen nie mogło już być mowy. Coś takiego było w atmosferze, że tego rodzaju jawne wywyższenie głównego aktora procesu stałoby się zbyt rażącym. Przeciwnie, zamiast się chlubić, odczuwano potrzebę usprawiedliwienia dokonanego czynu. W dwóch orędziach królewskich, wydanych w czerwcu, do miast francuskich, oraz do całego chrześcijaństwa, usiłował rząd angielski udowodnić, że Joanna wyparła się przed śmiercią swoich „Głósów“ i uznała sama swe błędy przeciw wierze. Toż samo twierdzi uniwersytet paryski w piśmie, rozesłanem równocześnie do papieża, cesarza i kardynałów.

Lecz ta niska zemsta, wywarta na pamięci zamordowanej dziewczyny, niewiele pomogła sprawie Henryka VI. Koronował się wprawdzie, w kilka miesięcy po śmierci Joanny, ale wrażenie tego obrzędu było słabe. Ziemia, podbita niegdyś mieczem jego przodków, usuwała mu się z pod stóp, nieubłagane, choć powoli. Lud francuski poczyna się budzić i śmiała partyzantką wspierać swoje wojska.

Potężny sojusznik, książę Filip burgundzki, odwraca się od Anglii coraz bardziej, by zostać w końcu (w 1436 r.) przez traktat w Arras, zdecydowanym sujsznikiem korony francuskiej. Może nie myślał wówczas o Joannie, lecz spełniał oto, mimowoli, jej testament...

Król Karol zaś, jakby nawracając do jej wskazań, już w 1433 r. pozwala spiskowcom wypędzić ze swego dworu La Trémoille'a, a przyjmując napowrót Richemont'a, powierza mu władzę nad wojskiem. „Stał się — mówi Libelt — może mimo swej woli, naczelnikiem ludu, otoczył się drobną szlachtą, mieszczanami, włościanami...!”

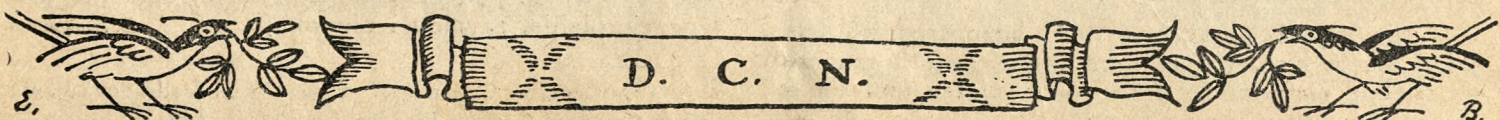
W pięć lat po skonie Dziewicy wydaje się, jakoby jej duch znów powiał nad krajem. Mnożą się wszędzie chłopskie i mieszczańskie spiski przeciw najeźdźcy, coraz groźniejsze. Paryż sam wypędza angielską załogę, by w 1437 r., witać entuzjastycznie prawowitego monarchę.

Przemiana, jaka się dokonywa w duszy dawnego „Delfina“, graniczy niemal z cudem. Ten chwiejny, lękliwy człowiek prowadzi teraz osobiście działania wojenne! Podczas zwycięskiego oblężenia Montereau (1437 r.), walcząc w przednich szeregach, brodzi po pas w napełnionej wodą fosie i pierwszy wdziera się na mury twierdzy... Trzeba być ślepym, aby nie dojrzyć przed nim, po za sceną widzialności, dziewczęcego ramienia, wskazującego nieubłagane kierunek ataku — nie dosłyszeć jej głosu szepczącego mu w ucho straszliwy nakaz:

— Pomścij mnie, odkup winy twoje! Naprzód w imię Boga! Bądź mężem, bądź wodzem!

Wszystko ją przypomina w owym czasie, wszystko jakby jej czekało, dziwiąc się, iż Joanna mogła lud swój opuścić. Tak trudno jest uwierzyć w śmierć wielkich ludzi!

I oto zjawia się — w maju 1436 r. — kobieta podobna do niej rysami, wiekiem, postawą, śmiałością mowy i gestu — i ogłasza zdumiewającą nowinę; ona to jest Dziewicą Francji, która ocalała się cudem z płomieni!



CLEMENCEAU JAKO DEMOSTENES FRANCJI WSPÓŁCZESNEJ



Wielka wojna na podobieństwo potwornej maszyny wciągnęła w swe tryby miliony ludzkich istnień.

W obliczu niebezpieczeństwa straż nad zbiorowym wysiłkiem objęło surowe prawo wojny.

Zamknięci w kadry bojowe ludzie z różnych warstw i różnych sfer życia szli w rytm jednego marszu.

Za nimi, za frontem wobec nieodmiennej konieczności znosiły ich rodziny brzemień wojny.

Serca wszystkich płonęły jednym pragnieniem zwycięstwa. Ponad skargi, protesty, dezercje i zdrady jednostkowe wznosił się czysty, donośny głos komendy.

Tak żyły wszystkie walczące narody w latach wojny, tak żyła wówczas i Francja. Przywodził jej i podtrzymywał w zapale wódz natchniony, Clemenceau. Przyszły układy pokojowe, otwierające pole działania ludziom innego pokroju. Rozpoczęły się nieskończone dyskusje, współzawodnictwa, intrygi. Szerokie masy zażądały udziału w życiu społecznym i politycznym. Powstał zamęt, którego opanować nie mogli działacze dawnego typu. Ustępowali. Usunął się w zacisze wiejskie i Clemenceau, a myśląc o roli swej względem ojczyzny ustalał swe pobratymstwo z Demostenesem¹⁾.

Grecja w książce jego to Francja, Macedonja — Niemcy, Demostenes zaś, to duch czuwającego bohatera narodu w chwili, gdy naród ten porzucił drogę wielkości.

Życiorys Demostenesa, przesiąknięty uczuciem autora, słusznie uznała krytyka francuska za dzieło publicystyki. Wykazała też niezawodne przeinaczanie faktów historycznych, zwłaszcza przy charakterystyce Macedonji i jej władców. Clemenceau widzi w Macedończykach barbarzyńców, groźnych dla cywilizacji zaborców, przed którymi bronić się należy wszystkimi siłami.

Wódz, który stawiał opór nawale niemieckiej ma zawsze na oczach burzycieli katedry w Reims. Wie on, jak trudno utrzymać napięcie woli zbiorowej, przełamać w ludziach naturalny instynkt życia i zapalić do ofiar najcięższych. Ale równocześnie zna Clemenceau tajemnicę wpływu i oddziaływania na masy. Formułuje ją prosto: „Ludy zawsze szły chętnie za tymi wodzami, którzy żądali od nich krwi“.

A więc dla dobra sprawy winien brzmieć surowy nakaz dowódców, budzący w ludziach wyższe duchowe potrzeby. Najistotniejszym zaś warunkiem posłuchu, według autora, jest tkwiąca w każdym człowieku tęsknota za bohaterstwem. Clemenceau wierzy w godność i piękno natury ludzkiej, ale obawia się wypaczenia szlachetnych jej zadatków, zejścia na bezdroża.

To też za największe zło poczytuje to, że niższe energie pchają olbrzymią masę chwiejących się mierzwi na ich własną szkodę ku rozproszeniu wyższych energii, których związek jedynie ocaliłby życie idei.

Rozpraszenie wielkich energii uważa Clemenceau za symptomat swych czasów.

Nie mówi wszakże o tem bezpośrednio, lecz przez aluzje historyczne. „Im więcej światła rzucimy na wielkie egzystencje przeszłości — pisze — tem lepiej oświetlimy obraz swego życia“.

Na książkę o Demostenesie złożyły się dwa żywioły: tragiczne widzenie powojennego chaosu i zachwyt dla bohaterstwa, któremu towarzyszy stałość.

W dobie anarchji i rozprężenia szedł Demostenes przeciw instynktom swoich rodaków. Nie schlebiał ich słabościom. W nim bowiem skupiła się troska o honor narodu, o jego wielkość.

Clemenceau zespala się z patriotą greckim i rzuca jego rodakom oskarżenia, podtrzymane własnym sercem: „Czyż nie niósł on mężnie za was brzemienia nadziei ponad waszą miarę... On zamierzał was podnieść do wyżyn energii własnej duszy, własnej woli, a ta wyniosłaby was na czoło ludzkich annałów... Urodzeni do wielkich rzeczy, wyście zdołali je pojąć tylko, pokusić się o nie, aleście ich nie urzeczywistnili!“

A jednak Demostenes miał chwile triumfu.

Gdy przemawiał wobec zgromadzonej tłuszczy, wśród której byli płatni stronnicy Filipa, dezercerzy i tchórze, wszystkich zniewalał do milczenia, wszystkich wstrząsał dreszczem trwogi

„Jednym słowem — powiada o nim Clemenceau — zrywał zasłonę z rzeczy i oczom zbłąkanym pokazywał żywą okropność tego, co jest“. Nie chcieli Grecy spojrzeć w oczy prawdzie, której blask oślepił ich na chwilę, nie rozumieli podstępnych knowań Macedonji. Ogarnęło ich słodkie próżniactwo i żądza wygodnej egzystencji! Spierali się między sobą o prawa i przywileje. Wysuwali coraz to nowe postulaty społeczne.

Młoda demokracja, przechodząca w rządy tłumów utrudniała działanie ludziom wybitnym. Co się jednego dnia umocniło w myśli i pamięci przygodnie zebranych wyborców, to trzeba było następnego dnia tłumaczyć i gruntować na nowo. Rozpadała się wciąż budowa, dźwigana mozolnie, z nadludzkim wysiłkiem jednostki.

Wielki człowiek stracił władzę trwałego oddziaływania na społeczeństwo. To co stworzyła chwila zapału, obalała chwila zniechęcenia. Zerwał się związek naturalny między wodzem a szeregowcem sprawy, między inicjatywą a czynem. Bolesne nieporozumienie zawisło nad życiem codziennym Grecji. Tragiczna tęsknota za heroizmem, płonąca w sercu Demostenesa nie zdołała rozniecić świętego ognia w narodzie. Gdziekolwiek tylko błyskały iskierki zapału, by zgaśnięć w mrokach.

O tej krótkotrwałej przelotnej egzaltacji mówi Clemenceau z goryczą i bólem: „Nie dosyć wziąć świetny udział w bitwie, w dniu zapału, jeśli się w duszy i w sercu niema dość sił, by w tem wytrwać“.

Przez usta Demostenesa ostrzega i upomina Clemenceau Francję współczesną. Pokazuje jej sprężystość i energję Niemców, ale nadewszystko walczy o jednolitą opinię publiczną o wskrzeszenie rycerskiej tradycji w swoim narodzie.

Chwała zwycięskiej Francji — to najgłębsza potrzeba gorejącego serca jej wodza. Nieporozumienie między nim a własnym społeczeństwem, to tragizm wybitnej jednostki, która straciła wpływ na życie.

Clemenceau o swoich czasach, o swojej ojczyźnie mówi z przerażeniem i bólem, ale mówi dyskretnie, ukrywając pod osłoną historycznej analogji własne cierpienia, zawody i niepokoje.

Z. Szymdłowa.

¹⁾ Georges Clemenceau, Demosthene, collection, Nobles Vies, Grandes, Oeuvres Plon-Nourrit et C-ie, edit-

SŁOWA NA WOLNOŚCI

O TEORJI FUTURYZMU

„Jestem oknem otwartem, zakochanem
w słońcu, które do słońca płynie”.
Marinetti. — Płynąc nad Sycylią.

Gdybyśmy się uparli w najnowszych prądach poezji dostrzegać zaranie jakiegoś neo-neoromantyzmu, tobyśmy ten urywek z poematu Marinetti'ego wzięli za punkt wyjścia do stworzenia pewnej syntezy. Ale my się bynajmniej przy tem nie upieramy, bo jeżeli chodzi o najnowsze kierunki w sztuce, to każdy znajdzie w nich to, czego szuka, co znaleźć chce.

Więc cóż widzimy przez to okno otwarte na najdalsze widnokreśli sztuki? Zawsze ten sam wiekuisty ogień z nieba, po który chodził Prometeusz, to samo ukochanie światła, tylko bez prometejskiego wysiłku, bez prometejskiego bólu. Samo otwarcie duszy wystarczy, aby chłonąć słońce. Człowiek, świadomy swej siły, radosny olimpijczyk, nie zdobywa niczego, nie szarpie się w tragicznej walce, on poprostu ujarzmił i kielzna ślepe siły natury potęgą maszyn. A zatem cóż w rodzaju oświeconego absolutyzmu człowieka nad naturą? Pogoda, harmonja, równowaga? Niewątpliwie tak, — ale nie łudźmy się, że mamy do czynienia z konkretną zdobyczą. To raczej cel do zdobycia, jakże daleki od urzeczywistnienia, jak niewspółmierny z wysiłkami poetów.

Nie będę tu wliczać tych wszystkich „izmów“, tych szkół poetyckich, które nakształt nawałnicy wiosennej zalały świat nowoczesny, w szczególności Francję. W tej powodzi nazw i definicij zatracilibyśmy nic przewodnią, podobnie jak ją zatracili i sami poeci awangardy, idąc ostatecznie po linii zarazem największego i najmniejszego oporu, po linii wiary i natchnienia.

Ale zanim to nastąpi, musi się dokonać przedwstępne dzieło burzenia. Apollinaire i Marinetti wzięli oskardy do ręki. Nie bez znaczenia jest fakt, że Marinetti jest Włochem, Apollinaire — Kostrowicki — Polakiem przez matkę. Na czemże polega to burzenie, ta rewolucja, to przewartościowanie wszystkich wartości? Przedewszystkiem na zerwaniu, a właściwie odwróceniu dotychczasowego stosunku do świata zewnętrznego.

Sztuka nie powinna być odtworzeniem świata zewnętrznego, ale „tworzeniem przez opis słowny“ (Salmon). Należy poszukiwać „wewnętrznych związków między słowami i ich ciągłym przywoływaniem się wzajemnem“ (Jacob) „Precz ze składnią, z przenośniami, z zużytymi epitetami, z harmonją typograficzną, ze strofą“; język nowy ma być „śpiewany, świstany, tańczony, biegany“ (Apollinaire).

Podstawowe zasady tej odrodzonej techniki językowej rozwinął szczegółowo Marinetti w swojej teoretycznej książeczce p. t. „Futurystyczne słowa na wolności“. Ciekawa jest geneza tego dziełka, z której zwierza się nam na wstępie sam autor. Oto, unosząc się w aeroplanie ponad Medjolanem, wsłuchany w łoskot motoru, Marinetti doznał szczególnej rewelacji: odczuł intuicyjnie bezradność dotychczasowej składni i postanowił wyzwolić słowo z ciemnicy łacińskiego okresu. Zdanie, według niego, to twór, posiadający głowę, brzuch, dwie nogi i dwie płaskie stopy, ale pozbawiony skrzydeł, których nigdy posiadać nie będzie. Aby mu dać te skrzydła, należy się trzymać zasad następujących:

1) Znieść składnię, rozrzucając dowolnie rzeczowniki, tak, jak one się rodzą w naszym umyśle.

2) Czasowniki używać tylko w bezokoliczniku, aby łatwiej dały się naginać do rzeczowników. Skasować podporządkowywanie ich „ja“ autorskiemu.

3) Znieść przymiotniki, aby nagi rzeczownik zachował swoją barwę właściwą.

4) Znieść przysłówki, tę starą, zardzewiałą agrafkę, spinającą wyrazy. Przysłówek, według Marinetti'ego, nadaje zdaniu nudną jednostajność tonu.

5) Każdy rzeczownik powinien mieć sobowtóra, to znaczy zjawiać się zawsze w towarzystwie słów, z którymi jest związany analogją, przyczem zbędne jest połączenie przymiokowe np.: kobieta — przystań, drzwi — kran, plac — lejek.

6) Precz ze znakami pisarskiemi! Wobec usunięcia przymiotników, przysłówek, przymioków, znaki przestankowe są zbędne. Żeby podkreślić pewne ruchy i kierunki słów, będzie się używać znaków matematycznych i muzycznych.

7) Rozszerzenie ram analogji. Analogja to olbrzymia miłość obejmująca przedmioty odległe, napozór rozbieżne i sobie wrogie. Dzisiaj obrazy już nie są kwiatami, które się zrywa i dobiera, jak mówił Voltaire. One są krwią poezji. Poezja powinna być następstwem coraz to nowych obrazów, inaczej jest anemiczna.

8) Niema kategorii obrazów, podziału na szlachetne lub ordynarne, ekscentryczne i naturalne, piękne i brzydkie. Tylko intuicja autora decyduje o wyborze.

9) Wszelki ład jest produktem podstępnej inteligencji, a zatem należy orkiestrować obrazy w ten sposób, aby osiągnąć maximum nieporządku.

10) Usunąć z literatury „ja“, to znaczy psychologię. Człowiek zupełnie zepsuty przez wpływ bibliotek i muzeów, podległy przeważającej logice, nie budzi zainteresowania, Należy go zastąpić przez materję. Niech przyjdą do głosu instynkty metali, kamieni, drzew. Miejsce wyczerpanej psychologii ludzkiej niech zajmie fizyczny najazd materji. Ciepło żelaza lub drzewa rozpala nas więcej, niż łyż lub uśmiech kobiety. Chcemy dać w literaturze życie motoru, tej nowej bestji, której ogólny instynkt będzie nam znany z chwili, gdy poznamy poszczególne instynkty, które się nań składają. Trzeba przedstawiać te cechy przedmiotów, jakie dotychczas były pomijane, np. ważkość (zdolność wzlotu), zapach (zdolność ulatniania się). Np. starać się oddać pejzaż zapachów, jakie odczuwa pies. Wsłuchiwać się w łoskot motorów i odtworzyć ich mowę.

Człowiek dąży do skalania swą młodą radością i starczą boleścią materji, która nie jest ani młoda, ani stara, ani smutna, ani radosna. Istotą jej jest odwaga, wola, siła absolutna. Posiedzie ją poeta, wyzwolony z więzów tradycyjnej składni, pozbawionej ramion i skrzydeł. Była ona dotychczas naszym tłumaczem i nudnym cicerone. Trzeba pozbyć się tego pośrednika, aby literatura weszła wprost we wszechświat, wcieliła się weń.

„Okres łaciński był jeno pretensjonalnym gestem, zapomocą którego zarozumiała i krótkowzroczna inteligencja siliła się pokonać wielopostaciowe i tajemnicze życie materji“.

„Pocóż posługiwać się lokomocją na czterech kołach, skoro tak łatwo można wzbic się nad ziemię“?

Tak załatwiwszy się jednym zamachem z techniką słowa, Marinetti przystępuje do obalania uświęconego bóstwa, jakim jest piękno w sztuce.

„Śmiało wprowadzajmy brzydotę do literatury, zabijajmy wzniosłość. Plujmy codzien na ołtarz sztuki. Genjusz ma gwałtowne porywy i potoki błotniste. Nie można odrazu odnowić swej wrażliwości. Martwe komórki są pomieszane z żywymi. Sztuka jest potrzebą niszczenia siebie i rozpraszania, sztuka to olbrzymia konewka heroizmu, zalewająca świat. Mikroby są potrzebne zarówno krwi, jak szałce“.

Tu Marinetti zwraca się do poetów futurystów, wzywając ich, aby „nienawidzili inteligencji“. Intuicja tylko, według niego, zdolna jest przełamać tę pozorną nieprzyjaźń, która dzieli nasze ludzkie ciało od metalu motorów. Po królestwie zwierząt zaczyna się królestwo mechanizmów. Przez poznanie i miłość materji, z której uczeni znają tylko reakcje fizyko-chemiczne, przygotowujemy stworzenie człowieka mechanicznego i uwolnimy go od idei śmierci, tej najwyższej definicji inteligencji logicznej.

Tak mówi teoria. Zobaczmy, jak ta miłość motoru wygląda w „praktyce poezji“ futurystycznej. Otwórzmy poemacik Paola Buzzi p. t. „Pieśń właściwielki przedzalni“ i czytamy:

— „I napnij ucho na dźwięk wieczystej Maszyny, która wyżera ci fibry i pragnie cię uspić w swoim „luli — luli“. A wracaj tego wieczoru do domu przez ścieżkę cmentarza, ponieważ gościniec pełen jest kamieni i ty mogłabyś rzucić jeden z nich na automobile, lecące w kurzu z jedwabnemi nierządnicami panów“.

Komentarz zbyteczny.

Podążajmy dalej za tokiem myśli Marinettiego. Futuryzm wysuwa jako zasadę zupełne odnowienie wrażliwości ludzkiej pod działaniem wielkich zdobyczy wiedzy i techniki. Rodzą się stąd nowe możliwości, nowe siły, nowe postacie ich uzewnętrznienia a mianowicie:

Przyspieszenie życia, równowaga fizyczna, inte-

lektualna i sentymentalna człowieka na napiętej linii pośpiechu.

Wstręt do wszystkiego, co stare i znane. Umiłowanie rzeczy nowych i nieprzewidzianych.

Wstręt do życia spokojnego. Umiłowanie niebezpieczeństwa. Zdolność codziennego heroizmu.

Wzmożenie wartości indywiduum, które odtąd chce żyć swoim życiem.

Deprecjacja miłości. Kobieta kocha więcej zbytek niż miłość. Mężczyzna nie kocha kobiety pozbawionej zbytku. Pojęcie „kochanka“ straciło urok. Miłość straciła swą wartość absolutną.

Przerodzenie patriotyzmu i koncepcji wojny. Namietność, sztuka i idealizm interesu. Nowa wrażliwość finansjerska.

Namietność, sztuka, idealizm sportu. Pojęcie i umiłowanie rekordu.

Nowy rodzaj wrażliwości, stworzony przez turystykę, wielkie hotele etc.

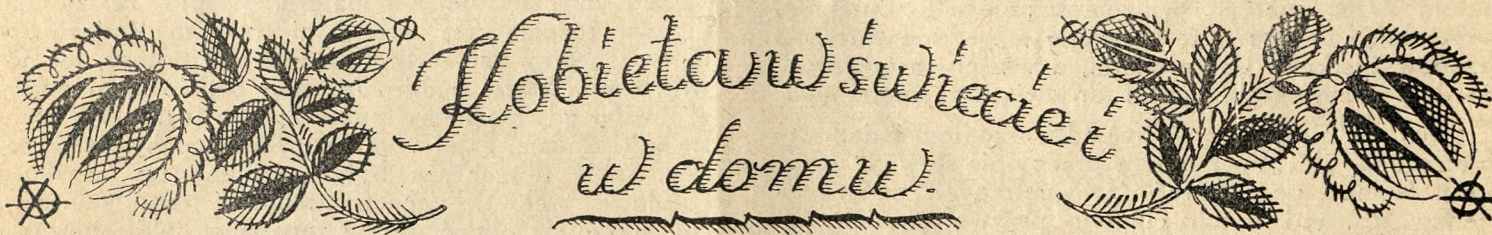
Udoskonalenie komunikacji zmniejszyło ziemię. Nasze pojęcia o odległości uległy zmianie. Dzięki szybkości komunikacji powstały syntezy i skróty optyczne, uwydatnione w kinematografii.

Artystyczny problemat skrótu i syntezy Marinetti rozwiązuje drogą szerokiego zastosowania onomatopei i całego szeregu pomysłów graficznych, w której nainność koncepcji idzie o lepsze z zuchwalstwem i bezwzględnością nowatora.

Jego „wzory słów na wolności“ np. „list pięknej pani do jegomościa paseisty“, albo „jenerał Joffre objeżdża pole bitwy nad Marną“, to albo dowcipne rebusy, albo prymitywizujące mazanine, kreslone ręką genialnego manjaka.

Patrząc na nie, odbiera się przedewszystkiem jedno wrażenie: że w poezji futurystycznej, jak na wojnie, — żeby osiągnąć pewne granice, trzeba je naprzód przekroczyć.

Stefanja Podhorska-Okołów.



MIASTO GWIAZD.

O dziesięć kilometrów na zachód od wielkiego miasta Los Angeles w południowej Kalifornji, w pobliżu Oceanu Spokojnego, znajduje się olbrzymia osada pod nazwą Hollywood — miasto powstałe zaledwie przed kilku laty, a dziś już dochodzące do rozmiarów kolosalnych. Osobliwe to miasto pod każdym względem, najbardziej charakterystyczną jednak cechą jego jest to, że wszyscy bez wyjątku jego mieszkańcy należą do pracowników ekranu, względnie do przemysłowców wszelkiego rodzaju, związanych ze sztuką kinematograficzną. Hollywood liczy przeszło sześćdziesiąt tysięcy t. zw. sił technicznych ekranu, t. j. elektrotechników, budowniczych, malarzy i dekoratorów, cieśli, murarzy, etc. etc. Poza tym znajduje się tam jeszcze ogromna liczba statystów — początkujących artystek, lub artystów, czasem poprostu tylko typów „fotogenicznych“, których zadaniem jest „robić tłum“ w wielkich scenach filmowych, wyma-

gających nieraz dziesiątków tysięcy osób. Wokół tej ludności, czerpiącej swoje utrzymanie bezpośrednio z przemysłu filmowego, gawituje jeszcze cała falanga kupców, hotelarzy, restauratorów, krawców, fryzjerów etc. etc. — obsługujących owych pracowników ekranu.

Aby sobie wyobrazić ten kolosalny ośrodek sztuki kinematograficznej, trzeba pamiętać o tem, że przemysł filmowy jest pod względem finansowym trzecim z rzędu z pomiędzy różnorodnych gałęzi narodowego przemysłu amerykańskiego. Naczelne miejsce zajmuje fabrykacja konserw, reprezentująca kapitał 2 miliardów dwustu milionów dolarów, dalej idzie fabrykacja samochodów z miliardem siedmiuset milionami dolarów kapitału, na trzecim miejscu zaś — przemysł kinowy, obliczany na przeszło półtora miljarda dolarów i zatrudniający zgorą trzysta tysięcy osób na obszarze całego terytorjum Stanów Zjednoczonych. Produkcja filmowa amerykańska osiąga sumy dwustu

miljonów dolarów rocznie, a koszty jej wynoszą około siedemdziesięciu pięciu milionów. W całej Ameryce znajduje się dwadzieścia tysięcy teatrów kinematograficznych, co stanowi połowę kinematografu całego świata. Dochody z nich sięgają siedemciuset pięćdziesięciu milionów dolarów rocznie. Obliczonym jest, że przeszło 75% całej ludności Stanów Zjednoczonych uczęszcza regularnie — przynajmniej raz w tygodniu — do kinematografu.

Kino jest tak potężnym środkiem propagandowym, że nawet niektóre kościoły i sekty amerykańskie — oczywiście protestanckie — nie wahają się instalować w swych domach modlitwy aparaty kinematograficzne, funkcjonujące po nabożeństwach, w godzinach popołudniowych i wyświetlających obrazy treści religijnej. Czyż można więc dziwić się, że w kraju, gdzie przemysł filmowy zajmuje tak wybitne miejsce w życiu ludności, powstaje całe miasto, poświęcone wyłącznie temu przemysłowi?

Hollywood, zwane popularnie „miastem gwiazd“, grupuje w sobie kilkadziesiąt najwybitniejszych i najbogatszych firm kinematograficznych, rywalizujących ze sobą w artyzmie inscenizacji, fantastyczności pomysłów i bogactwie wystawy. Firmy te zajmują olbrzymiej rozległości przestrzenie, na których grupują się już nie tylko wielkie atelier do pracy, zwane „studios“, lecz i monumentalne dekoracje, ustawione na wolnym powietrzu, a odtwarzające znane gmachy, jak np. Kasyno w Monte-Carlo, słynną paryską katedrę Notre-Dame, a nawet całe miasta, np. panoramę Bagdadu z jego niezliczonymi pałacami o wschodnich kopułach i minaretami o smukłych strzelistych wieżyczkach...

Zdale od centrum miasta, pełnego gwaru i zgiełku, w dolinie otoczonej panoramą dzikich i posepnych szczytów Gór Skalistych, rozłożyła się najpiękniejsza dzielnica Hollywoodu — „dzielnica gwiazd“. Tutaj znajdują się wille wszystkich najslawniejszych amerykańskich gwiazd ekranu. Mieszkańcy ich wykazują zresztą gustą najbardziej eklektyczne i niesharmonizowane. Willa marmurowa Mae Murray z olbrzymim tarasem w stylu włoskim, sąsiaduje ze średniowiecznym zamkiem obronnym, o zębatach basztach i murach, zamieszkanym przez japońskiego artystę Sessue Hayakawa. Zmarły niedawno Rudolf Valentino lubował się w przepychu wschodnim, to też willa jego przypominała pałac władców Orientu. W stylu tureckim utrzymaną jest również rezydencja Charlie Chaplina.

„Gwiazdy“ drobniejszego kalibru nie mogą, oczywiście, pozwolić sobie na tak luksusowe mieszkania, wynajmują więc prosto pokoje w hotelach. Ostatnio związek statystek, noszących w Hollywood nazwę „extra-girls“, wybudował dla swych członkiń olbrzymi gmach w stylu pośrednim pomiędzy zamkiem obronnym a drapaczem nieba — i zaopatrzył go w wielką salę klubową, gdzie młode artystki zbierają się na zabawy towarzyskie.

Niektórzy pisarze amerykańscy usiłowali przedstawić owo „miasto gwiazd“ — Hollywood, jako siedlisko zepsucia i wyuzdania moralnego, coś w rodzaju nowoczesnego Babilonu. W rzeczywistości jednak sprawa przedstawia się zupełnie inaczej: Hollywood jest chyba najbardziej moralnym miastem na kuli ziemskiej! Przyczyną tego jest właśnie owo skoncentrowanie wszystkich jego mieszkańców wokół jednego ogniska zainteresowania, a przez to poddanie ich pewnemu rygorowi moralnemu i ciągłej obserwacji. Miejscowe władze municypalne roztaczają nad miastem opiekę niezwykle surową i dochodzącą prawie, aż do

tyranji. Dość powiedzieć, że w Hollywood wzbronione są wszelkie miejsca rozrywkowe — niema tam, ani teatrów, ani kabaretów, ani restauracji nocnych, ani nawet dancinów! Obfituje zato miasto w kinoteatry, do których garnie się liczny zastęp pracowników ekranu po ukończonym dniu pracy, aby przypatrzeć się produkcjom firm konkurencyjnych.

Nad moralnością mieszkańców Hollywoodu czuwa ponadto specjalna brygada kobieca policji obyczajowej. Pełni ona służbę swoją tak sprężystą, że żadne, nawet najdrobniejsze przekroczenie, nie zdoła ująć jej uwagi. Policjantki wciskają się nawet do domów prywatnych pod jakimś pozorem — często w przebraniu służącej — aby wysledzić jakiegoś przestępstwo i ściągnąć na winnych zasłużoną karę.

Oczywiście, obowiązuje i tutaj, tak, jak w całej Ameryce, prohibicja alkoholowa, przestrzegana w tym mieście wyjątkowo surowo. W całym Hollywood nie dostaniesz, pono nawet za najdroższe pieniądze, kieliszka alkoholu... Jedynie tylko gwiazdy pierwszej wielkości potrafią czasami wyłamać się z pod surowej dyscypliny moralnej, obowiązującej resztę mieszkańców tego najosobliwszego chyba miasta na kuli ziemskiej.

Krucjatę przeciwko wszelkiej niemoralności głoszają także niezliczone setki pastorów w kościołach protestanckich wszelkich sekt i obrządków. Świątyni liczy Hollywood conajmniej tyleż, ile kinoteatrów. Gdzież tu mówić o zepsuciu obyczajów? Wbrew wszelkim plotkom o rzekomej niemoralności artystów i artystek ekranu, Hollywood pozostanie miastem, w którym od świtu do nocy wre ciężka, pozbawiona wszelkich atrakcyj i powabów praca. Kto chce używać życia, musi szukać rozrywki gdzieindziej.

NIE BĘDZIE PANIEN

Rząd duński uczynił wreszcie zadość prośbom licznych organizacji feministycznych, które domagały się oddawna zniesienia tytułu „panna“, jako rzekomo ubliżającego godności niewieściej. „Upokarzającym jest — twierdziły feministki skandynawskie, podkreślanie specjalnie dla kobiet ich stanu cywilnego i rozbienie różnicy w tytułowaniu kobiety zamężnej i niezamężnej. Mężczyzna jest zawsze „Panem“, bez względu na to, czy jest żonaty, czy kawaler — dlaczegóż więc kobiety mają się dzielić na „Panie“ i „Panny“. Sfery rządowe uznały słuszność tych żądań i zarządziły, że odtąd we wszystkich dokumentach oficjalnych, bez względu na to czy jest zamężną, czy nie, kobieta będzie nosiła tytuł „Pani“.

PLYWANIE JAKO SPORT DLA KOBIEC

Z powodu zwycięstwa pani Carson, która podjęła rekord panny Ederle, przepływając kanał La Manche, pisma angielskie poświęcają bardzo dużo miejsca rozważaniom nad udostępnieniem kobietom sportu pływackiego. Fakt, że pani Carson, chociaż wcale nie zawodowa pływaczka, przepłynęła kanał w czasie znacznie krótszym, niż wszyscy dotychczasowi zawodowcy mężczyźni, nasuwa przypuszczenie, że kobiety są specjalnie do sportu pływackiego uzdolnione. Wobec tego niektóre z tych pism domagają się, aby miejscowości, posiadające urządzenia kąpielowe publiczne, przestały foworyzować mężczyzn, którzy dotychczas korzystają podobno z tych udogodnień w znacznie większym stopniu, niż kobiety, i żeby urządziły specjalne łaźienki kobiece, w których młode dziewczęta, zmęczone całodzienną pracą czy to biurową, czy domową, mogłyby spędzić przynajmniej godzinę dziennie na ćwiczeniach pływackich.



POWIEŚCI KAROLA GJELLERUPA.

„Dojrzała do życia“ — „Wędrowcy świata“ — „Pielgrzym Kamanita“.

W obecnych nerwowych czasach, trawionych gorączką zmysłowej żądzy i niepokoju duchowego, gdy dziki rytm lubieżnego tańca usiłuje przygłuszyć wołania teozofów, okultystów, żarliwych wyznawców różnych religij i tych wszystkich, którzy szukają Prawdy — dziś właśnie potrzeba nam literatury, któraby, łącząc cudowną fantazję z głęboką myślą, rzuciła jasne błyski duszom uspiętym i znękanym, dała przeczucie prawdy spragnionym i tęskniącym. Takimi są właśnie książki Karola Gjellerupa. Ten Duńczyk, mieszkający w Niemczech, jest nie tylko człowiekiem północy, a więc naturą refleksyjną, spokojną, filozofującą z umiarem chłodnego intelektualisty, ale jest szczerym poetą o wyobraźni bujnej, rozpłomienionej najgorętszym pragnieniem poznania wielkiej tajemnicy życia. Ta niczem nieukojoną tęsknota sprawia, że Gjellerup, poznawszy dokładnie filozofję europejską, przedewszystkiem Kanta i Schopenhauera, zwraca się ku filozofji hinduskiej, znajdującej w Wedancie wyraz szukanej prawdy.

Powieści jego: „Dojrzała do życia“, „Pielgrzym Kamanita“ i „Wędrowcy świata“ są przejawem jego dróg myślowych. Z tytułów już można wnosić, że dojrzała do życia są ci, którzy jasno zrozumieli, że są jeno pielgrzymami, wędrowcami wśród nieustannych przemian życia.

Jako początek jego twórczości w kierunku buddystycznego poglądu na świat można uważać powieść „Dojrzała do życia“. Na tle dość płytkiego środowiska południowo-zelandzkiego ziemiaństwa występuje postać filozofa, który, odnalazłszy swój własny stosunek do Boga, świata i ludzi, uśmiechem wyrozumienia i miłości wypromieniowuje swą moc wewnętrzną na stykających się z nim ludzi, budząc ich świadomość do zrozumienia wielkiej zasady, że świat jest tylko odbłaskiem czegoś nieznanego, ku czemu dążymy nawet podświadomie, a pełnię dojrzałości do życia stanowi dojrzałość wobec śmierci. Poglądy swe precyzuje bardziej w następnych powieściach, których akcja rozgrywa się w Indjach.

W „Wędrowcach świata“ w przedziwny sposób rozwija teorię reinkarnacji. Powieść to niezwykle interesująca. — Kalejdoskop obrazów, olśniewających przepychem swego kolorytu. Czuje się upalne gorąco indyjskiego słońca i tajemniczy nastrój orzeźwiającej nocy, dostojną kulturę kraju i niewypowiedziany czar bujnej przyrody indyjskiej. — A przystem wszystkim bajecznie ciekawa fabuła. — Jeśli chodzi o występujące postacie, to Gjellerup nie analizuje zbytnio, nie daje nadzwyczajnych powikłań psychicznych, ale jakgdyby dla wyraźniejszego podkreślenia przekonania, że każdy posiada dwie dusze, dwie natury, wysuwa równoległe dwie postacie: jedna to dusza rozbudzona, zdążająca ku wyzwoleniu, druga — to dzikie i gwałtowne pierwiastki natury. Tę technikę w przedstawianiu postaci przy pomocy jaskrawych kontrastów zauważyć można we wszystkich jego powieściach.

W „Wędrowcach świata“ przez artystyczne powiązanie zależności kolejnych wcieleń daje plastyczny obraz idei reinkarnacji. „Pielgrzym Kamanita“ to dalsze fazy rozwoju duchowego. Tutaj już akcja przenosi się w sfery kosmiczne wciąż tworzącego się bytu.

Można się zgadzać lub nie z filozoficzną teorią hinduską, można mieć pewne zastrzeżenia co do reinkarnacji, ale bezstronnie przyznać trzeba, że dzieła Gjellerupa posiadają wielką wartość. Pomijając ich niepowszednie walory artystyczne, wpływające z wielkiej kultury literackiej autora, większą uwagę należy

zwrócić na ich stronę ideową. Nie w samym propagowaniu pewnej doktryny tkwi szerzenie prawdy, nie! Trzeba znaleźć taki kąt nachylenia swych wierzeń do jedynej i niezmiennej prawdy, aby się w nim załamały i odbiły wszystkie tęsknoty i pragnienia ducha ludzkiego.

Gjellerup zbliża się właśnie do takiego typu pisarza. Można nie zgodzić się z jego filozofją, ale nie sposób oprzeć się naporowi myśli, jakie wywołują jego rozważania, sięgające do otchłannych bezkresów wieczności.

K. Sulita.



TEATR ĆWIKLIŃSKIEJ i FERTNERA:

„Oj, mę ż c z y ż n i, mę ż c z y ż n i“, komedia Kazimierza Zalewskiego.

W obecnym sezonie przybył Warszawie jeszcze jeden teatr komedjowy. Patronuje mu ulubienica publiczności, artystka, która w sztuce prowadzenia dialogu nie ma równej sobie w Polsce. Mówię o pani Mieczysławie Ćwiklińskiej. Partnerem jej w prowadzeniu tej nowej imprezy jest pan Antoni Fertner, niemniej od Ćwiklińskiej lubiany przez bywalców teatralnych. Przemiała ta para wybrała na inaugurację sezonu komedię Kazimierza Zalewskiego p. t. „Oj mężczyźni, mężczyźni“. Wybór niezbyt szczęśliwy. Komedia Zalewskiego nigdy nie była arcydziełem i pochodzi z epoki, w której sztuka dramatyczna stała w Polsce na niewysokim poziomie. Zalewski był pisarzem aktualnym, współczesność znał dobrze, posiadał bystry zmysł obserwacyjny; wszystkie te zalety (grano sztukę w kostjumach z przed lat pięćdziesięciu) nie mogły wzbudzić zbytniego zainteresowania jego utworami dziś, kiedy nasze wymagania i poglądy uległy kardynalnej zmianie. Tem niemniej bawiono się dobrze — zawdzięczając doskonale zgranej trupie, która oprócz pani Ćwiklińskiej i Fertnera posiada takie „asy“ jak Grabowski, Walter, Pawłowski i inni.

Sam teatrzyk miłe robi wrażenie. Scenka trochę mała, w przyszłości może nasunąć niejedną trudność w rozwiązaniu zagadnień reżyserskich.

V A R I A.

Głośna była w lipcu b. r. w kołach artystycznych Warszawa sprawa zaangażowania na sezon obecny młodego tenora Opery Warszawskiej, Jana Kiepurę. Wszyscy prawdziwi znawcy śpiewu zawsze twierdzili, że Kiepura posiada głos fenomenalnej piękności i olbrzymią wróżyli mu przyszłość. Tylko władze teatralne warszawskie, od których zależy engagement, nie podzielały tego zdania. Kiepura, mówiono — jest śpiewakiem młodym, i winien mieć o wiele mniejsze wynagrodzenie, niż zasłużeni długoletni śpiewacy o głosach zdartych, ale za to spracowanych. O jakaś drobną sumę pertraktacje się zerwały i Kiepura pojechał zagranicę, uzyskawszy jedno z największych w Europie honorarjów. Teraz, przed wyjazdem do Ameryki, śpiewa Kiepura w Wiedniu. Prasa wiedeńska unosi się w słowach pełnych zachwyty nad pięknnością jego głosu, wróżyć mu olbrzymią przyszłość. Rozpisują się też dzienniki wiedeńskie nad pięknnością postaci młodego (dwudziestoczwolletniego) śpiewaka i nad dobrem jego wyszkoleniem aktorskim. Kto zna sceny zagraniczne, ten wie że opinia publiczności wiedeńskiej (Kiepurze po jego pierwszym występie w Tosce urządzono olbrzymią owację), publiczności bardzo muzykalnej i bardzo wyrobionej jest miarodajna dla wszystkich scen zagranicznych. Kiepura zdał egzamin na stanowisko pierwszorzędne. Nasze magistrackie głowy egzaminu natomiast nie zdały. Jak zwykle. Im zawdzięczać możemy, że straciliśmy tego wyjątkowego artystę.

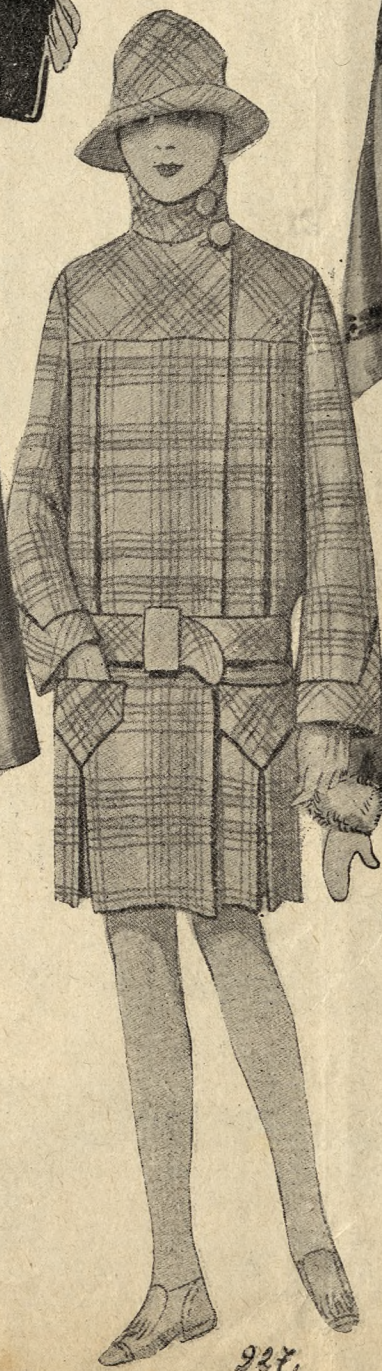
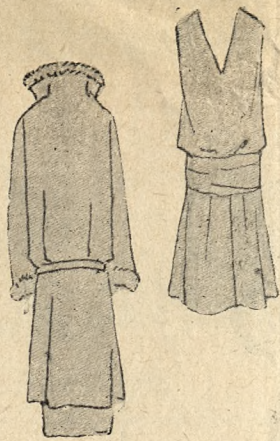
Z. P.



923

924

925 ©





931.



932.



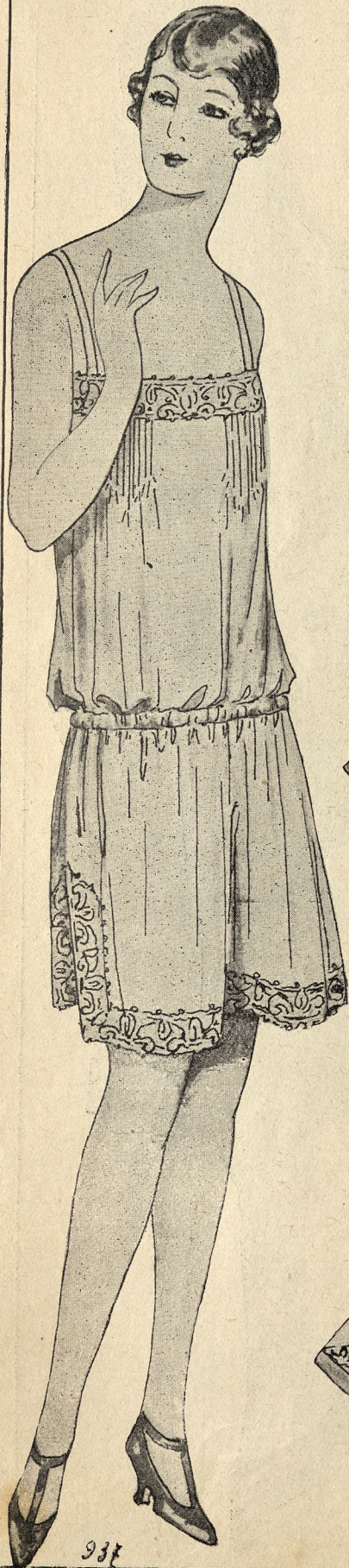
933.

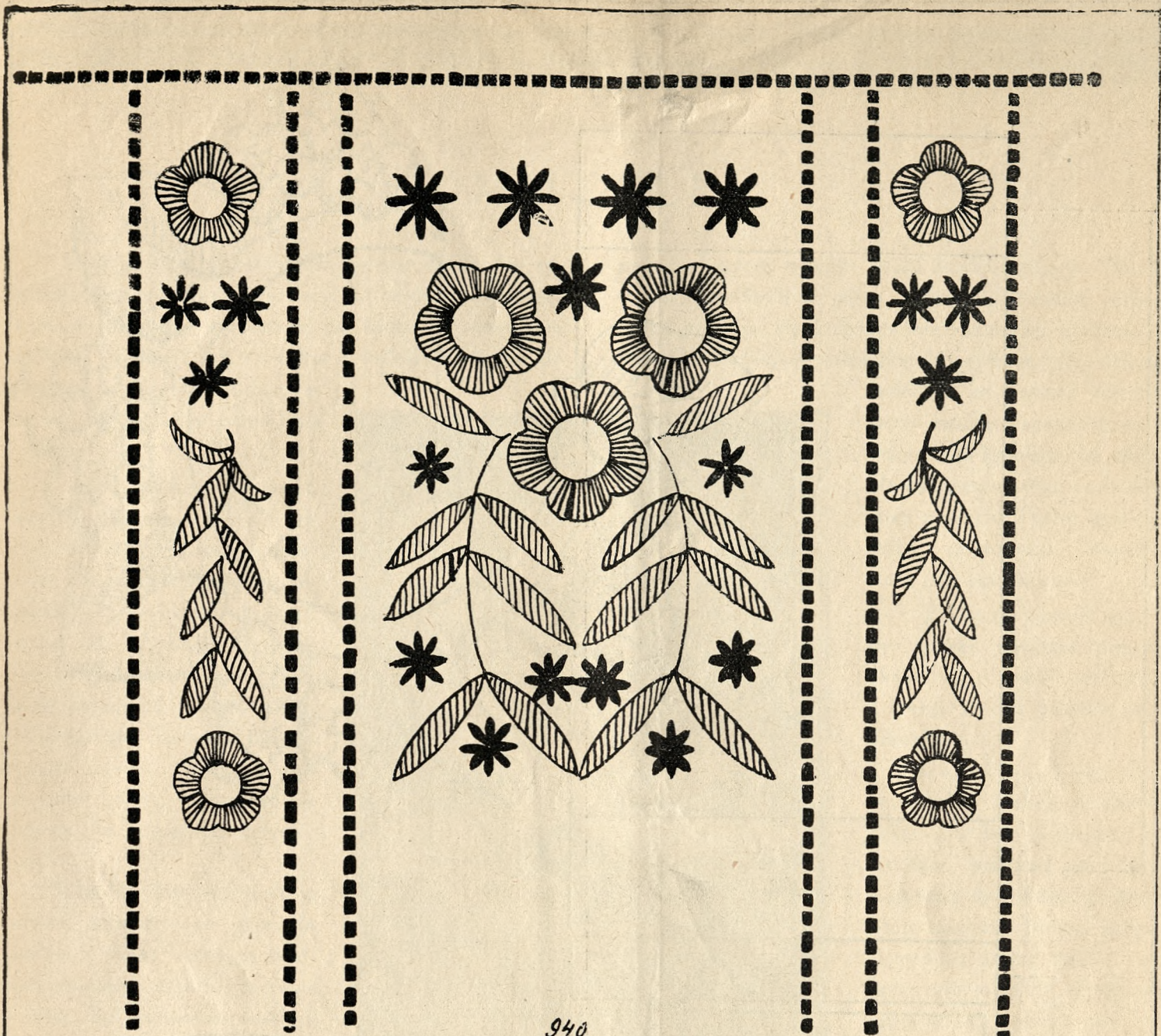


934.



935.





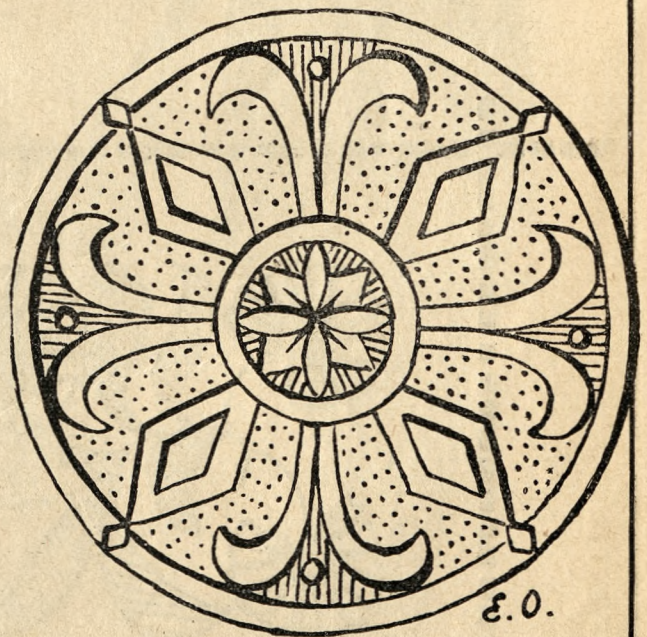
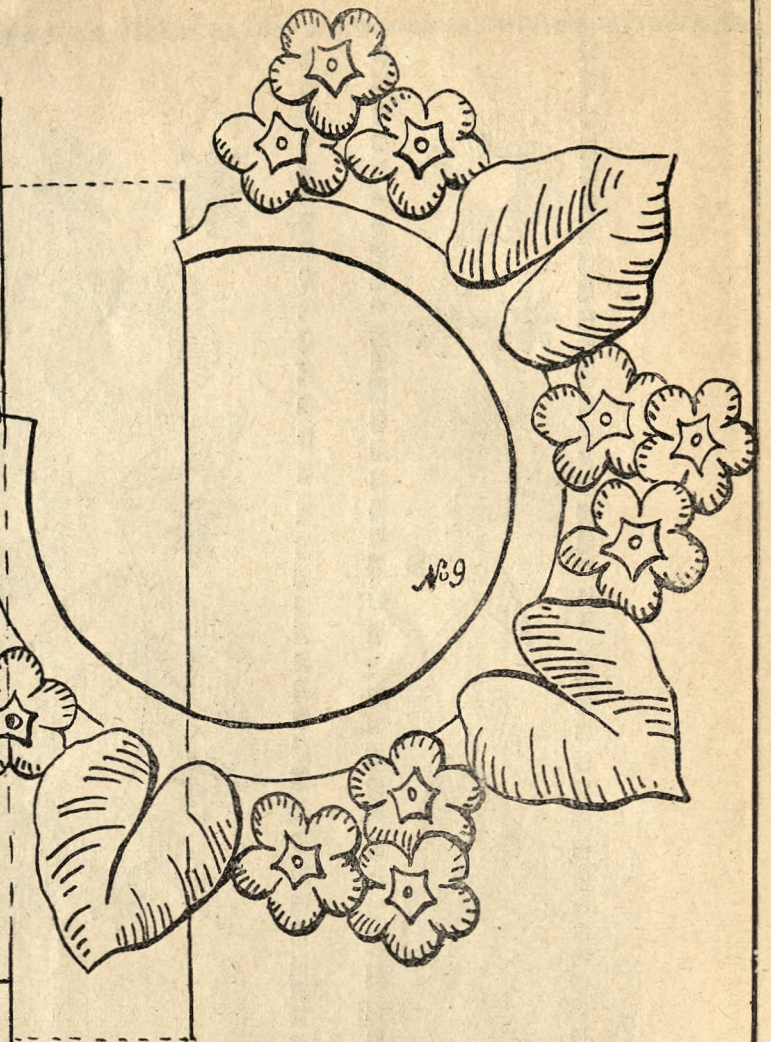
940



941



№ 8



№ 10.

MOTYLE

Motyle, których podobiznę podaje załączony rysunek mogą służyć do dekoracji sali balowej lub mieszkania — starannie wykonane są ładną i efektowną ozdobą. Wielkość ich dowolna — zależnie od celu do jakiego je przeznaczamy, a sposób wykonania niezbyt trudny.

Sporządza się je z samych starych, nie mających w żadnym domu wartości szmateczek, odcinków i starych pończoch — cholewek, których stopy już są zdarte. Jedyne drut nowy. Cholewki pończoch, o ile zabraknie koloru odpowiadającego barwie danego motyla, można ufarbować na dowolny kolor. Wzorować się można na motylach naturalnych.

Sposób wykonania: według wzoru ukształtować skrzydła motyla z drutu czarnego średniej grubości, wszystkie zagięcia i nawet drobne kontury dokładnie wygiąć. Dwa parzyste, powiedzmy górne lewe i prawe skrzydło złożyć razem dla sprawdzenia czy są jednakowe, również drugie dwa dolne. Po urobieniu dokładnem 4 skrzydeł przygotować 1 parę cholewek z pończoch do kroju w ten sposób, że odciawszy stopę całkiem nisko, rozcina się na szwie wzdłuż cholewkę (poprzednio górne założenie w pończosze rozcina się lub pruje, by zyskać na długości) rozkłada się obie cholewki na stole i uformowane kontury z drutu przykłada się celem wykrojenia. Pięć skrzydeł wychodzi z 1 pary pończoch, zauważyć należy, iż pozornie kontury z drutu mogą być znacznie większe aniżeli materiał do przykroju, ponieważ pończoszkowy materiał jest elastyczny, zatem

podczas szycia wokoło drutu da się naciągać. Obszyć 4 skrzydła drobno, gęsto, starannie cienkim jedwabiem, któryby się kolorem [nie różnił od pończochy, potem dobierać] wszystkie plamki i żyłki motyla, słowem

ozdabiać go bardzo zrećnie naszywaniem z aksamitu i tafty rozmaitych kolorów, aż skrzydła osiągną zupełne podobieństwo żywych, Tułów uszyć ze stopy pończoski, wypchać watą lub skrawkami.

Tułów po uszyciu ze stopy dobrze wygląda pokryty aksamitem, pręgi wpoprzek z innego koloru, główka znów odmienna.

Uszyć osobno główkę, oczka zrobić z dużych paciorków lub okrągłych guziczków, przyszyć je.., spoić wszystko, do tułowia przyszyć silnie spojone drutem gotowe skrzydła.., dodać wąsiki, wykończenie musi być staranne.., precyzyjne, nitka musi być tak cienka ażeby ściegów nie było widać.

Kto lubi wogóle zwierzęta, a w szczególności te rozkoszne, skrzydlate, przepiękne okazy, ten wykona ich podobizny tak, że będą jak żywe, przypięte fantazyjnie wysoko na dywanach, firankach lub ścianach i upieksza bardzo sympatycznie mieszkania lub sale balowe, stanowiąc oryginalną ozdobę.

Nadmienię jeszcze że pończoszki na motyle i łątki muszą być cieniuche i najlepiej jedwabne.

Trochę cierpliwości — mało kosztów, wiele smaku dekoracyjnego, a można z tego przemysłu domowego nawet mieć i dochód, a w dodatku — jestto nadzwyczaj miła robótka.

Bogumiła Neumanowa



S Z A L E

Wiem z góry, że kolekcja pięknej Pani mieści w sobie nie jeden, dwa, nie trzy szale, a cały ich legion.

Który jest jej jednak najmilszym? Który na wybrańca zasłużył sobie miano?

Niebieski? czarny? zielony, czy różowy?

Ten z crêpe de chine'u, z tchinacrêpe'y, z wszechwładnej kasha, z jedwabnego trykotu, czy takiegoż muślinu?

Do czego nosi je Pani? Do kostjumu spacerowego, podróznego, do ensemble'u, czy sukni wieczorowej.

Jaki jest ich kształt i wielkość jaka? Czy są duże, średnie, kwadratowe, długie, półdługie, czy krótkie?

Służą w sezonie letnim, jesiennym, zimowym, czy na wiosnę?

Oto pytanie, jakie zadać można każdej kobiecie, tam, gdzie chodzi o podstawowe jej umiłowanie — o szal.

Ten szal, nieśmiertelny szal, wprowadzony w tajemniczy krąg władczej mody przez piękną Iris, a tęczę zwany, ten, którym dziewczyna średniowiecza zdobiła zbroicę swego kochanka, gdy na krucjatę szedł zwalczać niewiernych, frywolny, wonny szal pięknej kurtyzany, szal o długich frendzlach rozkosznej zwodnicy z czasów cesarstwa, szmaragdowy szal Julji de Trecoeur — nieśmiertelny, niezwalczony w czasie, przestrzeni, w uroku — szal kobiecy... Jeżeli nie możemy poszczycić się nim, jako naszym wynalazkiem, pozostaje nam w rękach berło pierwszeństwa tam, gdzie chodzi o ilość tych posiadanych cudów — wszak my żyjemy w epoce stu tysięcy szali.

Bo czyż na pytanie, zamieszczone powyżej, nie odpowie każda modna dama?

„Nie wiem ile ich mam, nie liczę ich — ale je z amatorskim kolekcjonuję“.

A ten, który darzę wśród wszystkich specjalnemi względami, jak wybrać go wśród tylu ślicznych towarzyszy? Kocham je wszystkie i każdy po kolei. W wonnej głębi tajemniczej szuflady drzemią ich szeregi, czekając na uśmiech losu, co rzuci im w twarz słońce i wonnym podmuchem wiatru muskać zaczną.

Są między niemi gładkie, crêpe de chine'owe, odmiennym pasem na końcach zdobne, błękit na

ciemnym granacie, beige na powierzchni brązu gorącego, białe z czarnym — z tchinacrêpe'y, tłoczone w kubistyczne desenie w miłych stapiających się ze sobą tonach — mam szale z jedwabiu, trykotu, kasha, z georgette'y i z muślinu.

Do czego je noszę? Te z kasha, tak miękkie i ciepłe, z ensemble'em podróznym, z kostjumem przeznaczonym do golfa, tenisa, do auta.

Te z jedwabnego trykotu? Z dyskretnym skromnym kostjumem spacerowym. A ten wreszcie? Czyż nazwiecie go szalem? Przyjrzyjcie mu się dobrze — wszak jest to poprostu chusteczka z jedwabnego muślinu, którą wiąże na szyi, wśród pereł mojego naszyjnika, aby skompletować, nie bez domieszki swawoli, moją wieczorową tualetę.

Suknia jest z blado różowego jedwabnego muślinu. Chusteczka nie może być inna, jak z takiejż tkaniny, o bardzo nikłym niebieskim cieniu — i nie wolno Wam, którzy w widzów stoicie kręgu, protestować, nie wolno krytykować, bo pomysł ten zapożyczyłam od Nicole'a Groult, którego gust jest tak pewny i niezawodny.

A ten z crêpe satin, który drapuje się z taką nieskazitelną prostotą dokoła ramion i ożywia niezastąpionym wdziękiem suchą linię sukni moderne i ten, którego zawadjacki węzeł upodabniamy do zwykłego fularu marynarza, a tyle ma w sobie kokieteryj i szyku, albo ten olbrzymi kwadrat gorącego wiśniowego koloru, ile w nim soczystości dojrzałego owocu...

Należą one jednak wszystkie do rzędu jednokolorowych. Jakże mogłabym nie wprowadzić Was w królestwo zaczarowane moich szali egipskich, moich szali orientalnych, moich szali kwiatnych i plisowanych.

Są między niemi te, co miano „rozkwitłej noszą róży“, jest usiany pękami śnieżnej marguerite'y, jest hinduski, lśniący poświęcą gwiazd i sierpu księżyca.

Oto, co odpowiedzieć Wam może każda modna pani.

A jednak wypowiedzieć się nie da sposób, w jaki nosimy te cuda. On właśnie, to wyraźna rewelacja kobiecej osobowości.

Jest bowiem sposób wiązania szala klasyczny i zimny — trochę nudny; sposób



roztargniony i, że tak powiem, nieopohamowany — sposób miękki i omdlewający i — sposób zdecydowany.

Znam kobiety, które wiążąc na szyjce sznurek, mają dosyć szyku, aby narzucić go modzie, inne z najcenniejszej materji, co je otula, nie wydobędą nic, prócz smętnego wrażenia, że cierpią na chroniczny katar.

Są wieszczki, co kupując na wyprzedazy byle jaki gałganek, zrobią z niego cud, wywołujący okrzyk zachwytu i te które przez swoją nieudolność zniweczą czar najcudniejszych kreacyj.

Pisząc te słowa, kieruje się chęcią dania dowodu Paniom, że aby czarować wdziękiem swych szali nie trzeba dysponować niewyczerpanym budżetem.

Tzeba tylko mieć gust — zręczność — takt i — szyk.

A tego się nie kupuje.

To nasze barwne i czarowne królestwo staje nam się tem droższe, że w orbitę jego wdzierać się zaczynają wrogie prądy. Dykrator Włoch współczesnych — twórca faszyzmu, wszechpotężny Mussolini, podniósł swoją władczą dłoń, aby wymierzyć cios w samo serce naszych najmilszych upodobań, stwarzając specjalną ligę do walki z nowoczesną modą.

Na czele ligi tej stanęła królowa Helena, a znana rzymska malarka p. Gallenia, powołała do życia kilka nowych modeli wzorowanych na... płaszczach papieskich i staro-rzymskich togach. Łatwo zrozumieć, że charakterem te nowe kreacje przypominają do złudzenia pokutnicze suknie zakonne, a pełne surowości nastroje, jakich są wcieleniem, podkreślają jeszcze dziwaczne nazwy, którymi je ochrzczono. Jeden z tych modeli nosi np. miano: „Płaszcz Bonifacego VIII-ego“.

Aż dziw, że wielcy tego świata wśród niezliczo-



nych powikłań i trudności, jakimi usiane są ścieżki ich żywota mają czas i chęć wglądania w nasze maluczkie sprawy i swojemi groźnemi rękami, których przeznaczeniem jest trzymać krótko w cuglach trudne do kierowania masy, w zaborczym pędzie nie omieszkają chwycić za kwietne gałęzie, aby strząsnąć z nich barwne płatki. Bo jak słusznie mówi śliczny aforyzm japoński:

Kobieta czar —
kobieta kwiat,
Jasny chryzantem
szarej ziemi...

więc uszanujmy jej królestwo barw,
czaru i woni, zostanie jeszcze i tak

na świecie dosyć szarżyzny i smutku, dosyć pokutniczych cieni wtulonych w długie rękawy i ciemną barwę zakonných płaszczy.

Na pocieszenie mamy jednak fakt, że wszechświatem rządzi równowaga. Bo gdy Grecja i Włochy porywają się na nasze prawa, o frywolność pomawiając niewiasty, Francja nie ustaje w trudzie wynajdywania coraz to nowych uśmiechów mody, z których najsensacyjniejszym w tym sezonie będą „cigarettes polychromes“. Pan Blodeaux, dyrektor francuskich państwowych fabryk tytoniu, wpadł na nowy pomysł zwiększenia dochodów państwowych, oparty na próżności kobiecej. Lansuje on mianowicie modę papierosów o kolorze bibułki, dostosowanym do kolorytu tualet damskich. „Cigarettes polychromes“ zapowiadają się, jako dernier cri szyku, z którego rząd spodziewa się czerpać wcale pokaźne zyski, ze względu na bogatą skalę asortymentu kolorowego, zamówionego przez pałace elegantki.

Wynika stąd, że wysiłek złożony w hołdzie kaprysowi kobiety, wynagrodzonym bywa sowicie. Snobizm nasz nie zawodzi bowiem nigdy kalkulacyj handlowych.

W. D.

BEVERLEY NICHOLS

PSYCHOLOGJA STROJU KOBIECEGO

Mężczyzna, piszący o psychologii stroju kobiecego! Co myślicie o tem, piękne panie? I to mężczyzna, twierdzący, że tylko rodzaj męski potrafi ocenić należycie piękną toaletę — więcej, że tylko mężczyzna może wskazać kobiecie, jak powinna się ubierać i jakim jest „typ“ jej urody! Stary oryginał, tetryk, wróg kobiet? Ani trochę; jeden z najmłodszych i... najprzystojniejszych literatów angielskich. Zarozumiałec? No naturalnie — ale tylko w tej mierze, w jakiej cecha ta wspólna jest wszystkim mężczyznom.

Apostoł nowej prawdy? Może — któż to wie? W każdym razie warto go posłuchać — a więc posłuchajcie:

„Spytałem raz wielkiego mistrza pendzla, Sir Williama Orpena, co uczyniłby, gdyby do niego przyszła kobieta o rudych włosach, ubrana w suknię koloru turkusowego i zażądała, by ją tak odmalował? Odpowiedział mi na to z całym spokojem: kazałbym jej się rozebrać. Gdyby wszyscy mężowie wszystkich rudowłosych kobiet na całej kuli ziemskiej (włączywszy w to i mężów wszystkich brunetek, blondynek

i szatynek) okazywali się również brutalnymi w stosunku do swych żon, nie byłoby na świecie tylu źle ubranych kobiet.

Nie jestto bowiem prostym zbiegiem okoliczności, że wszyscy prawie bez wyjątku wielcy projektodawcy toalet damskich są mężczyznami. Przyrodnik próbowałby może wytłumaczyć to zjawisko hipotezą, że ponieważ mężczyzna jest jedynym samcem w świecie zwierzęcym, nie przewyższającym urodą i wdziękiem swej towarzyski, przeto stara się on zadowolnić swój wrodzony instynkt piękna — strojeniem swej towarzyski w jaskrawe barwy i pióra, które z prawa natury jemu samemu się należą. Mnie jednak ta koncepcja nie przemawia do gustu. Według mnie, mężczyźni są najlepszymi dekoratorami poprostu dlatego, że są wogóle urodzonymi artystami.

Ale sztuka nie jest jeszcze wszystkim. Zdaje mi się, że przyczyna leży tu jeszcze głębiej: mężczyzna potrafi lepiej wybrać i ocenić suknię, którą kobieta ma włożyć, gdyż umie on patrzeć na tę kobietę oczyma obserwatora — patrzeć na nią, jak na obiekt sztuki, ocenić należycie jej linię, koloryt i temperament.

Pomiędzy rysownikiem, projektującym suknię, a piękną kobietą, która ją nosi, istnieć musi koniecznie ściśle kontakt psychiczny. Znam jedną piękną artystkę, której toalety odpowiadają ściśle nastrojom jej duszy, odzwierciedlają charakter postaci scenicznej, którą dnia tego odtwarza. Czy sądzicie, że byłaby w stanie odczuć sama z taką dokładnością własny swój nastrój — odtworzyć koloryt swej duszy? Nie — to może zrobić tylko ktoś stojący na uboczu — ktoś, co umie patrzeć, wczuć się i obserwować.

Gdym wygłaszał raz ten swój pogląd w pewnym towarzystwie, jakaś dama zauważyła uszczypliwie, że artystka, o której mówię, tak jest piękną, iż nie potrzeba wielkiego znawstwa psychologii, aby ją dobrze ubrać. Zdanie to świadczy o głębokiej nieznanomości rzeczy. Właśnie piękną kobietę daleko jest trudniej ubrać, niż brzydką. Brzydka kobieta może daleko spokojniej pozwolić sobie na zaniebane ubranie, gdyż sam jej brak urody jest dla niej gwarancją, że ludzie zwrócą więcej uwagi na jej cechy wewnętrzne, niż zewnętrzne. Kobieta piękna powinna dbać o swój „extérieur“, jak o dzieło sztuki, które musi być oprawione we właściwe ramy. Widziałem raz cudny purpurowy storczyk, wetknięty niedbale do ordynarnego wazonika z brudno-czerwonego szkła, zamiast wywierać wrażenie piękna i subtelności, wyglądał niechlujnie i wulgarnie. Ileż to kobiet przypomina, niestety — owe storczyki!

Czasami zdaje mi się, że powinni być zawodowi psychologowie, którzy za skromną opłatą udzielaliby kobietom, nieumiejącym się ubierać, wskazówek, co do ich typu psychicznego. Większość kobiet, niestety, nie zdaje sobie zupełnie sprawy, kim są naprawdę. Czemże innem możnaby sobie wytłumaczyć to, że ubranie ich jest tak niestosowne? Suknia powinna podkreślać indywidualność osoby, która ją nosi: powinna być tylko odbiciem — chociaż spotęgowanem — jej nastroju psychicznego. A jednak dzisiaj większość kobiet ubiera się tak, jakgdyby wszystkie kobiety na świecie miały jeden tylko typ i jednakowy nastrój — dodajmy przysięgą, nastrój pozbawiony całkowicie wdzięku i poezji.

Byłem niedawno na zebraniu, gdzie naliczyłem dwanaście pań ubranych w kapelusze ściśle jednokolorowego modelu! Kiedy panie te powstały ze swych miejsc, zauważyłem, że mogłyby również bez wielkiego kłopotu zamienić pomiędzy sobą swoje suknie, Wszystkie miały na sobie tego samego koloru pończochy, tego

samego koloru pantofelki, tego samego koloru pomadkę do ust i nawet wyrazy ich twarzy były jednakowej barwy. A jednak każda z nich była innym typem kobiety! Niektóre były piękne i próżne, inne — kobiece i pełne bluszczowego wdzięku, inne jeszcze poprostu nieinteresujące i ograniczone, a były także pomiędzy niemi i bardzo interesujące, mądre i pogodne. Dlaczegoż na miłość Boską ubrały się wszystkie tak, jakgdyby były trupą chórzystek z operetki?

Chociaż nie jestem rysownikiem toalet damskich (o co mię może moje czytelniczki zaczęły w skrytości serca już posądzać), ani tem mniej — właścicielem wielkiego atelier mody, — ogarnęła mnie wtedy szalona chętka odprowadzić każdą z tych pań po kolei na stronę i zmusić je — prośbą czy groźbą — do natychmiastowej i stałej poprawy. Moje poczucie psychologiczne podszeptało mi odrazu dla każdej z tych pań stosowny rodzaj ubrania. Chciałybyście może, abym wam powiedział, jak sobie te ubrania wyobrażałem? Oto kilka przykładów moich projektów:

Pani Nr. 1-szy: — osoba około trzydziestki, blada, smukła, bardzo ciemnowłosa, o rysach tak wyrazistych, że aż prawie ostrych. Kazałbym jej przede wszystkim kupić mały, obcisły kapelusik z połyskliwego czarnego jedwabiu. Następnie pozwoliłbym jej sprawić sobie bluzkę białą, całą pokrytą oryginalnym, ciężkim, czarnym deseniem. Reszta sukni musiałaby być czarna, zupełnie, absolutnie prosta w linii. Pantofelki czarne, pończochy srebrzyste. Pozwoliłbym na jedną jaskrawą nutę w tej całej toalecie — wszystko jedno, gdzie zechciałaby ją umieścić: przy pasku, na kapeluszu, czy staniku. Takie ubranie dopiero podkreśliłoby jej indywidualność — byłby to rodzaj typu Beadesleyowskiego, zmodernizowanego w stylu roku 1926.

Pani Nr. 2-gi; — młoda panienka dwudziestolatnia, o drobnej, bladej twarzyczce, ogromnych oczach i wielkich kasztanowatych włosach. Porwałbym ją stamtąd i kazałbym jej natychmiast kupić sobie dużą, słomianą pasterkę, parę metrów deseniowej markiety i sznurek bursztynów. A potem zamknąłbym ją w jej pokoju w towarzystwie wyboru najlepszych powieści Jane Austen i nie wypuściłbym jej, dopóki by ich nie przeczytała i nie przetrwała należycie. Sam tymczasem spaliłbym jej wstrętą kolekcję kapelusików „cloche“ i obcisłych sukienek à la garçonne.

Pani Nr. 3-ci: — kobieta lat trzydziestu kilku, szalenie szczupła, o włosach rudawych, bladej twarzy i plecach nieco przygarbionych. W tym wypadku tyle rzeczy byłoby do poprawienia, że doprawdy trudno było powiedzieć od czego należy zacząć. Zamiast obciętych włosów (co za pomysł — ruda z krótkimi włosami!) powinnaby ta pani nosić warkocze upięte około głowy, jak koronę. zamiast smarować swe policzki źle dobranym kolorem różu powinna była podkreślić jeszcze swą błądź, przyciemniając rzęsy i zadowalniając się jedynie jaskrawie ukarminowanymi ustami. A potem, jeśli by się nauczyła trzymać się prosto, może udałoby się w końcu zrobić z niej coś ładnego.

I tak dalej i tak dalej. Mój Boże! zaledwie zacząłem, muszę już kończyć. Wiem, wiem: „miejsce nasze jest ściśle ograniczone“ — mówi mi redaktorka z uprzejmym uśmiechem. Kończę więc, dając mym czytelniczkom dobrą radę: jeśli nie stać was na ubieranie się u wielkich krawców, spytajcie każdego inteligentnego mężczyzny z pośród waszych znajomych, w czem jego zdaniem, byłoby wam do twarzy. A skoro wam to powie, postąpcie wbrew waszej naturze: pojdźcie za jego radą“.

POLSKA WSPÓŁCZESNA

POLSKIE UGRUPOWANIA POLITYCZNE

Zjawisko dzielenia się obywateli jednego państwa na obozy polityczne sięga najodleglejszej przeszłości. Rozmaite były w dziejach hasła, pod którymi występowały obozy polityczne, rozmaite także napięcie walk i tarć partyjnych.

Czasy nowsze przyniosły naogół złagodzenie walk politycznych, które ograniczają się obecnie przeważnie do kampanij prasowych i do rozpraw na gruncie parlamentów. Rzadziej przychodzi już do prawdziwych, krwawych wojen domowych, choć i te, zwłaszcza w ostatnim dziesięcioleciu, niekiedy się zdarzają. Zato występuje obecnie, w przeciwstawieniu do średniowiecza, zjawisko różniczkowania się społeczeństwa na bardzo znaczną liczbę obozów, nieraz bliskich sobie poglądami, ale działających oddzielnie i występujących z osobnym programem politycznym. Takie rozbitcie opinii społecznej jest szkodliwe dla twórczej pracy narodu. Ono głównie jest przyczyną zarysowującego się obecnie w wielu państwach kryzysu ustroju parlamentarnego.

W Polsce mamy do czynienia ze szczególnie wielkiem rozdrobnieniem politycznym. Jak podaje p. Alicja Bełcikowska, autorka b. wartościowej książki p. t. „Stronnictwa i związki polityczne w Polsce“, mamy obecnie w Polsce 26 stronnictw politycznych polskich, 33 stronnictwa mniejszości narodowych i 35 związków politycznych młodzieży. Z pośród tych ugrupowań tylko 14 stronnictw polskich i 17 stronnictw mniejszości narodowych zdobyło mandaty do ciał ustawodawczych—pozostałe nie są reprezentowane ani w Sejmie, ani w Senacie, co nie przeszkadza, iż prowadzą działalność polityczną i wywierają wpływ na bieg spraw państwowych. Nie bez wpływu także na polskie życie polityczne pozostaje wielka liczba związków, stowarzyszeń, a nawet instytucyj zarobkowych, które, mimo swego charakteru teoretycznie apolitycznego, w rzeczywistości biorą czynny udział w walkach partyjnych.

Orientacja w tej nowoczesnej wieży Babel, jaką są polskie ugrupowania polityczne, jest tem trudniejsza, iż w programach poszczególnych stronnictw polskich, a zwłaszcza w ich taktyce, brak tych tradycyjnych wytycznych i zasad, które pozwalają od razu dzielić partje wg. pewnego, utartego w przedwojennej Europie szematu, na „prawicowe“ i „lewicowe“—„zachowawcze“ lub „postępowe“ i t. d. Zwłaszcza trudno jest u nas mówić o partjach „narodowych“ i o stojących na stanowisku nienarodowem, bo tych ostatnich, za wyjątkiem nielicznego obozu komunistycznego i niektórych partyj komunizujących, równie nielicznych, w rzeczywistości niema. W sejmie utarty jest podział na prawicę, lewicę i centrum, ale podział ten jest grubem uogólnieniem i ma niewiele wspólnego z istotą programów, głoszonych przez poszczególne stronnictwa.

Aby sobie jednak ułatwić pobieżny z konieczności, wobec szczupłych ram artykułu, przegląd stronnictw polskich, musimy uwzględnić ten przyjęty, choć niezupełnie słuszny, podział i mówić o partjach: prawicowych, centrowych i lewicowych.

Za stronnictwa należące do prawicy uważane są przede wszystkim: Obóz Monarchistów Polskich, Stronnictwo Zachowawcze i Stronnictwo Prawicy Narodowej. Dwa pierwsze z tych stronnictw dążą, drogą ewolucji, do ustroju monarchistycznego w Polsce, wszyskie zaś stoją na gruncie konserwatywnym i katolickim, występują w obronie zasady nienaruszalności własności prywatnej i są przeciwnikami, zamierzonej w Polsce, reformy agrarnej. Żadne z tych stronnictw nie posiada reprezentantów w obecnych ciałach ustawodawczych. Organem stronnictwa prawicy narodowej jest dziennik krakowski „Czas“.

Ze stronnictw zasiadających w parlamencie polskim na prawicy, należy przede wszystkim wymienić Chrześcijańsko-Narodowe Stronnictwo Rolnicze w Poznańskim i Stronnictwo Chrześcijańsko-Narodowe w Warszawie, oba te stronnictwa są reprezentowane w Sejmie i w Senacie przez Klub Chrześcijańsko-Narodowy.

Oba stronnictwa stoją na stanowisku katolickiem i demokratycznym. W szczególności popierają interesy rolnictwa i przeciwstawiają się zamierzonej reformie rolnej. W sejmie posiadają 22 mandaty, a w senacie 9 mandatów. Organem prasowym stronnictwa warszawskiego są „Warszawianka“ i „Dzień Polski“,— a stronnictwa poznańskiego: „Gazeta Powszechna“ i częściowo „Kurjer Poznański“. W wyborach do Sejmu z roku 1922 oba stronnictwa, idąc łącznie ze Związkiem Ludowo-Narodowym i Chrześcijańsko-Narodowym Stron. Pracy wystawiły razem z temi stronnictwami wspólną listę wyborczą t. zw. „Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej“, która zdobyła ogółem 2.500.000 głosów (głosowało więc za nią około 28% głosujących).

Związek Ludowo-Narodowy reprezentuje ideologję narodowo radykalną i liczy, w przeciwstawieniu do innych stronnictw polskich, pośród swych członków przedstawicieli różnych sfer społecznych. Centralnym organem prasowym Z. L. N. jest „Gazeta Poranna i Warszawska“ i tygodnik „Zorza“. Oprócz tych organów związku stronnictwo wydaje około 20-tu pism prowincjonalnych, zarówno dzienników jak i tygodników. Z. L. N. posiada w Sejmie 99 miejsc poselskich, a w senacie reprezentuje go 30 senatorów. Z pośród głosów oddanych ogółem na listę Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej—przypadało na rzecz Z. L. N. około 1.500.000 głosów, co stanowi około 17% głosujących.

Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji—(dawniej Chrześcijańsko-Narodowe Stronnictwo Pracy) reprezentuje ruch chrześcijańsko-społeczny. Organami stronnictwa są „Rzeczpospolita“ i „Polak Katolik“ w Warszawie i około 15-tu pism prowincjonalnych. Sejmowy klub P. S. Ch. D. liczy 41 posłów i 8 senatorów. Podczas wyborów do Sejmu w roku 1922-im, z liczby głosów, jakie padły na wspólną listę wyborczą, przypadło na rzecz Ch. Dem. około 600.000 głosów, t.j. około 7 proc. głosów oddanych.

Przejście pomiędzy prawicą sejmową, a centrum stanowi nielicznie reprezentowane (6-ciu posłów)

Stronnictwo Katolicko-Ludowe. Jest ono organizacją włościan średnio zamożnych i reprezentuje kierunek umiarkowany. Organem prasowym S. K. D. jest „Lud Katolicki“, wychodzący w Krakowie.

Istotny środek parlamentu polskiego reprezentuje Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast“. P. S. L. „Piast“ reprezentuje umiarkowaną politykę centrową i jest organizacją zamożniejszego włościanstwa. P. S. L. „Piast“ liczy w Sejmie 51 posłów, i w Senacie 12-tu senatorów. W wyborach do Sejmu „Piast“ uzyskał 1.130.000 głosów, czyli 13 proc. głosów oddanych. Organami stronnictwa są: „Echo Warszawskie“, „Wola Ludu“ i około 10-ciu pism prowincjonalnych.

Przejście od partyj środkówowych do partyj lewicowych stanowią — w kierunku ludowym — Klub Pracy, liczący 6-ciu posłów i 4-ech senatorów i reprezentujący ideologię demokratyczno - radykalną, a w kierunku robotniczym — Narodowa Partja Robotnicza, piastująca w Sejmie 18-cie, a w Senacie 3 mandaty i reprezentująca robotników usposobionych radykalnie, lecz niesocjalistycznie.

Klub Pracy nie posiada organu prasowego — za sympatyzujący uchodzi „Nowy Kurjer Polski“. Narodowa Partja Robotnicza wydaje „Sprawę Robotniczą“ w Warszawie i kilka dzienników na prowincji. W głosowaniu do Sejmu N. P. R. uzyskała 470.000 głosów, czyli 5 proc. głosów oddanych.

W kierunku ludowym chłopskim, na lewo od „Klubu Pracy“ grupują się: Związek Chłopski, Chłopskie Stronnictwo Radykalne, Związek Polskich Stronictw Ludowych i Niezależna Partja Chłopska.

Związek Chłopski, stanowiący secesję z „Piasta“, połączoną z dawnym „Polskiem Stronnictwem Ludowym lewicą“, liczy 11 posłów i opiera się na warstwach niezamożnego włościanstwa. Zw. Ch. wydaje „Sztandar Ludowy“, wychodzący w Warszawie i parę innych tygodników prowincjonalnych.

Chłopskie Stronnictwo Radykalne piastuje 4 mandaty do Sejmu, reprezentując kierunek radykalno - chłopski i żąda przeprowadzenia reformy rolnej bez odszkodowania dla większej własności. Organem stronnictwa jest „Chłopska Sprawa“, wychodząca w Warszawie. W wyborach do Sejmu na listę Chłopskiego Stron. Rad. oddano 127.000 (1,5 proc.) głosów.

Związek Polskich Stronictw Ludowych składający się z b. Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie“ i stronnictwa „Jedność Ludowa“, stanowiącego secesję z „Piasta“, reprezentuje radykalnych chłopów, przeważnie małorolnych i bezrolnych. Domaga się wywłaszczenia ziemi, bez odszkodowania na rzecz reformy rolnej. Zw. P. S. L. liczy 47 posłów i 8 senatorów. Podczas wyborów do Sejmu otrzymały listy „Wyzwolenia“ 959.000 (11 proc.) głosów. Organem prasowym Zw. P. S. L.

jest tygodnik „Wyzwolenie“, „Gazeta Ludowa“ — oba wychodzące w Warszawie, oraz sympatyzujące z tem stronnictwem — „Kurjer Poranny“ i „Przegląd Wieczorny“.

Niezależna Partja Chłopska, licząca 7-iu posłów, stanowi secesję z „Wyzwolenia“ i głosi poglądy bliskie ideologii komunistycznej. Organem prasowym N. P. Ch. — jest „Walka Pracy“, wychodząca w Warszawie.

W kierunku robotniczym, na lewo od Narodowej Partji Robotniczej, stoi Polska Partja Socjalistyczna. P. P. S. jest organizacją robotników polskich, dążących, drogą ewolucji, do ustroju socjalistycznego. P. P. S. liczy w Sejmie 41 posłów, a w senacie 7 senatorów. Podczas głosowania do Sejmu uzyskała 894.000 głosów (10 proc.), Organami partji są: „Robotnik“, wychodzący w Warszawie i 8 pism prowincjonalnych.

Bardziej radykalną od P. P. S. jest Niezależna Socjalistyczna Partja Pracy w Polsce. W Sejmie reprezentacji nie posiada. Pośród członków jej znaczny odsetek stanowią żydzi i niemcy.

Ideologię komunistyczną reprezentuje w Polsce Komunistyczna Partja Polski, licząca w Sejmie 6-u posłów i dążąca do zaprowadzenia w Polsce ustroju wzorowanego na Rosji Sowieckiej. Organem K. P. P. jest „Czerwony Sztandar“, ukazujący się w Warszawie i parę innych pism, przeważnie konspiracyjnych. Za listami komunistycznymi opowiedziało się podczas wyborów do Sejmu 121.000 głosujących, (1,5 proc.).

Pozostałe, po za opisanymi, stronnictwa polskie mają znaczenie pośrednie i większej roli politycznej nie odgrywają. Pomijamy organizacje nieaspirujące do nazwy stronnictw politycznych, choćby nawet miały znaczenie w polskim życiu politycznym.

Stronnictw mniejszości narodowych istnieje w Polsce, jak zaznaczono na wstępie, 33, z nich 10 jest żydowskich, 12 ukraińskich, 5 białoruskich i 6 niemieckich. Szczupłe ramy niniejszego szkicu nie pozwalają nawet na ich wyliczenie. Nadmienimy tylko, że przedstawiciele mniejszości narodowych liczą ogółem w sejmie 85 posłów, a w senacie 27 senatorów, oraz że wszystkie listy mniejszości narodowych łącznie otrzymały w głosowaniu do sejmku 1.725.000 głosów (19%).

Stronnictwa, zarówno polskie jak i mniejszości narodowych, posiadają swoje odpowiedniki wśród sfer młodzieży.

Jak wspomniano, takich związków politycznych młodzieży istnieje 35.

Z pośród nich jest 22 związków polskich, 9 żydowskich, 3 ukraińskie i 1 niemiecki.

Z pośród związków polskich, 5 reprezentuje ideologię zbliżoną do stronnictw, jakie opisaliśmy jako prawicowe, 6 ideologię centrową, a 11 ideologię lewicową.

(c. d. n.)



NA KORCIE TENNISOWYM

(Rady i wskazówki mistrzyni świata, panny Zuzanny Lenglen.)

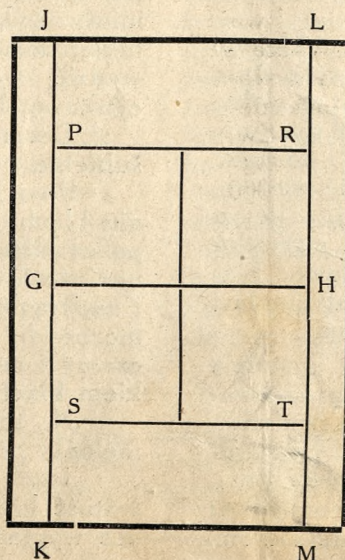
Niema już dziś prawie w mieście ani jednej osoby, któraby nie umiała grać w tenisa — na wsi również często spotyka się dobrze urządzone boiska i lepiej, lub gorzej grających zwolenników tego sportu. Zanim przytoczę tu rady i wskazówki mistrzyni świata p. Zuzanny Lenglen, zamieszczone w jednym ze sportowych pism paryskich, dla tych którzy jeszcze boiska nie posiadają i nie wiedzą, jak brać się do urządzenia takowego daję kilka informacji, aby ułatwić stworzenie sobie pola do milego, zdrowego, wyrabiającego zręczność ruchów sportu. Zwłaszcza dla ludzi pracujących umysłowo i uczącej się młodzieży partja tenisa jest znakomitym odpoczynkiem, rozrywką, przy której nabierają sił i ochoty do nowej pracy. Pierwszym warunkiem nauczenia się dobrej gry w tenisa jest przedewszystkiem urządzenie boiska, na które potrzebny nam jest plac zupełnie równy, na nim odmierza się prostokąt na prywatny użytek długości 16 metrów szerokości 7 m. 80 cm. odległość między długością, a równoległymi do niej linjami J. K. i L. M. 90 cm. — długość połowy linii P. R. lub S. T. 3 mt. a odległość tych linii od G. H. 4 m. 50 cm. Wskutek tego linje P. L, R. L, S. K. i T. M. mają długości 3 m. 50 cm. Możliwość zmniejszyć te wymiary, ale wtedy boisko nasze zdane byłoby prędzej dla dzieci, a dorosłym nie dawałoby dostatecznego pola do rozmachu i rozwinięcia siły. a także użycia przy grze niezbędnej swobody ruchów. Teren boiska może być betonowy, ziemny, najodpowiedniejszy na prywatne tenisy, szabrowany i pokryty trawą, na którym gra się równie przyjemnie, jak na ziemnym. Te dwa rodzaje uważam za najwłaściwsze w domowym zastosowaniu, są najtańsze i najłatwiejsze do urządzenia. Tak jedno jak drugie musi być równe i twarde, trawa bardzo nisko wystrzyżona, a linje tak jak na ziemnym oznaczone wapnem gaszonym lub kredą. Plac tenisowy, dobrze urządzony, powinien być otoczony wokół siatki wysoką na 3 metry chroniącą piłki od uciekania, bez niej można się ostatecznie obejść, ale wtedy trzeba mieć kogoś, któryby je łapał i przynosił. Niezbędną jest siatka rozciągnięta w środku wielkiego prostokąta równoległe do jego szerokości, umocowana po dwóch końcach do dwóch odpowiednich słupków, wysokich tak, aby po wbiciu ich w ziemię wystawały ponad poziom boiska na 1 m. 7 cm. Siatka ta, środkową zwaną, powinna być zrobiona z grubego sztywnego sznurka o takich otworach, aby piłka nie przeleciała, u góry obszyta pasem płóciennym 4 do 5 cm. szerokim, pod którym przeciąga się sznur i umocowuje u bocznych słupków.

Po odpowiednim urządzeniu boiska bardzo ważnym jest wybór rakiety — uderza nią się w piłki, aby je wprawić w ruch. Rakieta składa się z ośmiokątnej lub okrągłej rączki u dołu zakończonej guzem ze skóry i rozszerzającej się u góry w owalną ramę. Jakie powinny być jej zalety, opowie nam panna Lenglen. Drugą ważną rzeczą przy grze w tenisa są piłki gumowe, wewnątrz puste, z wierzchu przeważnie obciążane filcem jedno lub dwukolorowym. Piłki nieobciążane są tańsze, ale szybko się niszczą. Przy grze w tenisa po obu stronach siatki stają prze-

ciwnicy, zadaniem ich jest odbijać przysyłane piłki, a przytem starać się o ile możności uniemożliwić przeciwnikowi wykonanie jego planów. 6 gier, czyli gemów wygranych stanowią seta czyli partje. Wszystkie liczby i nazwy wywołuje się przy tenisie po angielsku, zyskane gry wywołuje się także głośno,

Najczęstszy sposób gry w tenisa, jest gra we czwórkę — do gry stają cztery osoby, które, łącząc się w dwójki, tworzą w ten sposób dwie partje. Losuje się przedewszystkiem, która partja, a następnie, która z dwóch grających osób zaczyna „serwować“ (rozpocząć grę). Jeśli jedna partja wylosuje prawo serwowania, druga wybiera miejsce na boisku. Wtedy obie partje rozstawiają się na boisku tak, aby osoba serwująca stanęła w prawym rogu głównego prostokąta swojego pola, druga zaś z tej samej partji w środku linii granicznej tego samego prostokąta. Po przeciwnej stronie siatki, w partji odbijającej, jeden partner staje przy prawej ćwiartce małego prostokąta, drugi w środku linii granicznej wielkiego prostokąta. Rozpoczynając grę, ten, który ma serwować woła „play“ (ple) — proszę, na co przeciwnik, jeśli jest gotów do gry, mówi „ready“, czyli gotów (redi) i gra się rozpoczyna. Podczas trwania jej nie wolno zmieniać, ani składu partji, ani porządku serwowania. Jak się nauczyć grać, jest to pytanie przedewszystkiem zajmujące każdego początkującego. Główną rzeczą jest rzut piłki, zależny od uderzenia jej rakieta. Ponieważ każdy rzut jest ujęty w karby różnych reguł, więc na wyuczenie się ich trzeba kłaść wielki nacisk. Początkujący nie powinni zabierać się do gry — dopóki nie nabiorą jakiejś takiej pewności w rzutach. Taką wstępną naukę można urządzić sobie w sposób następujący: na jakiegokolwiek ścianie naznaczyć linię na 91 cm. po nad ziemię (wysokość środkowej siatki). Następnie wprawia się w uderzenia piłką z początku z odległości kilku kroków, a następnie z coraz większej odległości, aż do 14 m. od ściany. Wprawivszy się należycie w te uderzenia, można dopiero próbować grać na boisku tenisowym. Zanim przytoczę cenne wskazówki p. Zuzanny Lenglen, podaję tu jeszcze szereg wyrazów angielskich, używanych przy tenisie, a to dla łatwiejszego zorientowania się:

Advantage (edwentedź) — zysk. Base lines (beslajns) — linje oznaczające szerokość większego prostokąta. Cut (ket) — ścinanie. Dewce (djus) — równość punktów. Double court (debl kart) — pole do gry w czwórkę, lub szóstkę. Fifteen ciftin) — 15 punktów. Fifteen all (fiften ol) — kiedy każda partja ma po 15 punktów. Five (fajw) — 5. Forehand strike (forhendstrajk) — uderzenie w kierunku przed siebie. Forty (forti) — 40 punktów. Four (for) — 4. Four handedgame, (for hendedgem) — gra w czwórkę. Game (gem) — gra. Game dewce (gem djus) — równość gier. Game advantage (gem edwentedź) — zysk gry. Inner lines (inner lajns) — linje wewnętrzne. Let (let) — rzut którego się nie liczy. Line (lajn) — linja oddzielająca. Love (low) — zero. Net (net) — siatka środkowa. One (uan) — 1. Ounce (auns) — skrócone on — jednostka wyrażająca ciężar rakiety — 10 on — 28 gramów. Out (aut) — rzut po za przepisane pole. Play (ple) — ha-



sło, którem serwujący oznajmia, że chce rzucać piłkę. Racket (reket) — rakietka. Ready (redi) — gotów, odpowiedź na „play“. Serwer (serwer) — serwujący, ten który zaczyna grę. Service (serwis) — serwowanie. Service lines (serwis lajns) — linie, przy których stoi ten, co serwuje. Set (set) — partja, czyli 6 gemów. Side lines (said lajns) — linie długości większego prostokąta. Single court (singl kart) — pole do gry

we dwójkę. Six (syks) — 6. Six handed game (syks hendedgem) gra w szóstkę. Smask (smesz) — bardzo silna odbitka z powietrza przy samej siatce. Striker (strajker) — odbijający. Thirty (serti) — 30 punktów. Thirty all (serti ol) — kiedy każda partja ma po 30 punktów. Three (tri) — 3. Three handed game (sri hendedgem) — gra w trójkę. Two (tu) — 2. Valley (walle) odbitka z powietrza.

METALOPLASTYKA

PRZYGOTOWANIE WZORÓW I OPRAWY

Nie zawsze można otrzymać gotowy wzór do przedmiotu, który się chce blachą ozdobić, albo trzeba samej go narysować, co nie każda z pań potrafi, albo z innego rysunku go przerobić. (Dwa wzory podajemy na ostatniej stronie dodatku mój Nr. 9 i 10). Przedewszystkiem należy mieć wymiar przedmiotu, który ozdobić zamierzamy. Powiedzmy np. że chcemy drewniane pudełko zupełnie blachą obić, ze wszystkich stron — wtedy należy wziąć kawałek kalki, przytwierdzić ją pluskiewkami do wierzchu pudełka i ołówkiem przejść kontury wierzchu, boków i brzegów otworu — to samo uczynić z dolną częścią pudełka (Nr. 8 rysunku na ostatniej stronie dodatku mój).

Z jednej strony boków należy kawałek blachy naddać, żeby można było podłożyć go pod następny bok.

Mając tak obrysowany kontur, przerysowujemy albo komponujemy w danej przestrzeni desen i przenosimy wszystko bardzo starannie na blachę, rysując na niej wszystkie linie brzegów, gdyż według nich należy potem blachę wyciąć dla oprawy.

Jeżeli np. zamierzamy tylko wierzch blachą ozdobić, bierzemy wymiar jedynie wierzchu pudełka — to samo tyczy się okrągłych pudełek, wtedy, po odrysowaniu na kalkę wymiaru, możemy koło poprawić cyrklem. Wzięcie wymiarów tyczy się wogóle każdego przedmiotu, do którego chcemy zastosować odpowiedni rysunek. Chcąc np. oprawić blachę na wazon szklany, należy bardzo dokładnie wziąć wymiar szyjki, na której cała oprawa się opiera, naddając trochę w obwodzie, licząc na grubość blachy, a nadto, wstawić kawałek blachy, żeby przy naklejaniu jedna na drugą zachodziła.

Do oprawy szkiele lub ceramiki używa się tylko blachy cynkowej, jako miękkiej i poddającej się wszelkim wygięciom.

Blachę na szkło przykleja się specjalnym klejem, który gotowy można dostać w słoikach, specjalnie służy tylko do tego celu, gdyż syndetikon jest za słaby, lepiej już, jeżeli odpowiedniego kleju dostać nie można, kupić w składzie aptecznym „mastyks“, nasypać trochę kryształów do małego naczynia, zalać eterem, nakryć i poczekać aż się mastyks rozpuści, o ile za gęsty, dolać eteru — wtedy trzeba już mieć wszystko przygotowane, żeby bardzo szybko posmarować blachę i momentalnie przykleić, bo mastyks natychmiast schnie — przyklejając, zmywać blachę eterem.

Gdy już blacha przytwierdzona, desen spatule'ą brzegami wcisnąć, a potem wziąć bardzo długi szpagat i o ile możności raz koło razu okręcać przedmiot, żeby blacha doskonale przywarła do szkła, szczególniej brzegi deseni i tak zostawić aż do następnego dnia.

Jeżeli na blasze lub szkle pozostały ślady mastyksu po odjęciu szpagatu, należy obmyć starannie eterem.

Do przytwierdzenia blachy na drzewo lub tekturę używa się oprócz kleju, także gwoździków. Gdy już mamy blachę przygotowaną, posmarować ją klejem, przyłożyć na odpowiednim miejscu, dopasować, a wtedy paroma gwoździkami przytwierdzić, żeby się nie poruszyła — potem dopiero albo w równych odstępach brzegami wbijać gwoździki, albo też w razie potrzeby nieznacznie między deseniem, lub tak, żeby z deseniem stanowiły całość.

Gwoździki trzeba wybierać jaknajmniejsze, żeby nie przechodziły na odwrotną stronę przedmiotu, co przy tekturach często się zdarza, przy drzewie również bywa. W razie, jeśli gwoździki za duże, a mniejszych dostać nie można, to należy końce obciąć obcęgi.

Dziurki do wbijania gwoździków robi się cienkim sztyłem, ale nie głębokie, gdyż inaczej mały gwoździk wpadnie i blachy nie przytrzyma.

Jeżeli mamy kamienie do oprawienia, to wpięty przykładamy blachę do przedmiotu i przez wycięty otwór robimy znaczek, potem zdejmujemy blachę, nakładamy trochę kleju na te naznaczone miejsca i umieszczamy kamienie, następnie dopiero przykładamy blachę i nakierowawszy kamienie dokładnie w otwory, blachę przytwierdzamy, czy też przyklejamy — gdy już przytwierdzenie skończone, spatule'ą przyciskamy wystający brzeg blachy naokoło kamienia, żeby go mocno objąć.

Jeżeli chcemy jaki przedmiot wykonać z zakresu biżuterji, naszyjnik lub klamrę, należy wpięty przygotowany rysunek, według którego należy przykrajac bardzo grubą blachę, która by się nie ugięła i na której oprawiamy wytłoczony metal.

Ponieważ do naszyjnika potrzebne są łańcuszki, to we właściwych miejscach zaraz trzeba w blaszanej formie przekłuć dziurki. Najczęściej takie przedmioty wykonywa się ze srebrnej blachy, ale u nas takiej dostać nie można, tylko z zagranicy trzeba sprowadzić, wobec tego zadowolnić się musimy cienką cynkową, lub bardzo cienką mosięzną.

Desenie i wykonanie biżuterji muszą być bardzo subtelne.

Po wytłoczeniu deseni i całkowitem wykończeniu blachy, wycina się ją według formy, pozostawiając po za ścisłą wielkością równy pasek blachy, którą nacina się w ząbki, żeby się dobrze przy zagięciach i zaokrągleniach poddawała — przyklejamy ją wtedy mocno do blachy, ząbki po drugiej stronie przyplaszczamy i całą odwrotną stronę przykrywamy kawałkiem blachy, ściśle według formy przyklejonym.

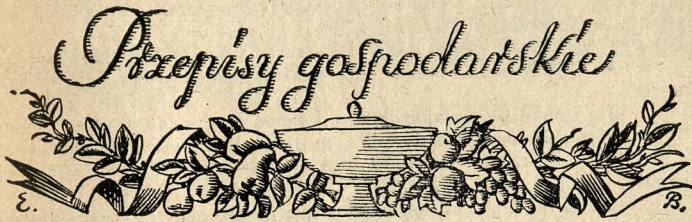
Na tej blaszce można brzegiem lub pośrodku małej deseni wytłoczyć dla ozdoby.

Jeżeliby na brzegach okazała się jaka chropowatość lub ostrość blachy, należy pilniczkiem to miejsce wygładzić.

Gdy już to wszystko wykończone, przekłuwamy blachy w miejscach, gdzie przebitą jest dziurka w naszej formie, wprawiamy w te dziurki kółeczka, do których przyczepiamy łańcuszki z zapięciami.

Do takich przedmiotów używa się zawsze kamieni, (wybierać trzeba ładniejsze) które oprawia się tak samo, jak wyżej było wskazaniem.

Eleonora Onichimowska.



ŻEBERKA WIEPRZOWE Z SOSEM POWIDŁOWYM

Kilo żeberek wieprzowych ugotować z włoszczyzną, solą, pieprzem i listkiem, jak na rosół. Gdy miękkie wyjąć. Smak użyć na zupę pomidorową, lub inną zabielałą, pozostawiając półtorej szklanki na sos. Kostki z żeberek wyjąć, mięso pokrajać w zgrabne kawałki, przycisnąć deseczką, dać zupełnie wystygnąć. Utarzać w bułeczce, (kto chce może umaczać w jajku, lecz zwykle na tłustych żeberkach bułeczka bez jajka mocno się trzyma), zrumienić w łyżce szmalcu. Dużą łyżkę śliwkowych powideł rozprowadzić smakiem od żeberek, włożyć parę kawałków cukru (słodycz zależy od osobistego gustu), kawałek cynamonu, parę goździków, sok z cytryny lub łyżkę octu, zagotować parę razy i zalać tem zrumienione żeberka ułożone na półmisku.

SZTUKA MIĘSĄ PO FRANCUSKU

Trzy do czterech kilo od zrazówki lub krzyżówki ugotować, jak zwykle na rosół z włoszczyzną. Nie przygotowywać nadto, aby mięso nie było włókniste. Przygotować sos rumiany z dwóch łyżek masła, dwóch łyżek mąki, rozprowadzonych rosołem i zakolorować go karmelem. Wziąć duży rondel z podwójnym dnem, jak do gotowania kartofli na parze. Na górnym dnie ułożyć mięso, zalać butelką wina „Marsali“, które można zastąpić półsłodkim węgrzyzmem lub winem owocowym odpowiedniego smaku. Wlać litr rumianego sosu. Pięć cebul pokrajać drobno, podsmażyć w łyżce masła, dodać marchwi, pietruszki, pół selera i całą porę, drobno pokrajane, pieprzu w ziarnkach, ziela, listków, parę goździków. Mięso powinno być pokryte płynem. Postawić na bardzo wolny ogień i dusić dwie godziny, aż sos do połowy się wysadzi. Sztukę mięsa wyjąć wraz z dnem ruchomem, pokrajać ostrożnie w cienkie plastry, otoczyć na półmisku garniturem z różnych jarzyn. Sos precedzić przez sito, połowę polać na mięso, drugą podać w sosjerce. Ta sztuka mięsa, dosyć kosztowna, nadaje się do większych obiadów, przyczem znajduje zużycie i doskonały, smaczny rosół, ugotowany na dużej ilości wyborowego mięsa.

KACZKA Z MAKARONEM

Dużą, mięsistą kaczkę przekrajać przez grzbiet ostrym nożykiem, wyjąć kości grzbietowe i piersiowe. Kości w udach i skrzydłach pozostawić. Kości te wraz z dróbkami użyć na zupę lub na smak do czerminy, jeśli kaczka była zabita w domu. Czwierć kilo makaronu włoskiego lub domowego zrobionego z ćwierć kilo mąki i jednego jajka, ugotować w wodzie osolonej, odlać, zmieszać z łyżką masła, lub ćwierć funtem (dziesięć deka) przetopionej słoninki wraz ze skwarkami, wbić jedno jajko, wysypać łyżeczkę majeranku, wymieszać dobrze. Nadziać tem kaczkę, zaszyć grubymi nićmi. Piec na brytwannie lub dusić w rondlu, często polewając na razie topioną słoniną lub masłem, później tłuszczem, który z siebie puści. Gdyby tłuszczu było mało, można podlać nieco wody lub rosółu. Gdy mięso na zadach zupełnie miękkie, kaczkę wyjąć, pokrajać, po odjęciu ud i skrzydeł, wpoprzek w duże plastry. Do sosu dolać rosółu lub wody, zagotować raz, precedzić przez sito i polać nim kaczkę.

LEGUMINA Z DROBNEJ KASZKI

Sześć żółtek z jaj bardzo świeżych ucierać w misce wałkiem aż zbieleją, dodać filiżankę najdrobniejszych krup hreczanych, białych, (maczku) i ucierać dalej aż się mak zrobi równy, wysypać filiżankę cukru, półtorej filiżanki gęstej, kwaśnej śmietany, skórkę z cytryny utartą na tarce, wycierać wszystko ponownie przez kwadrans, poczem zostawić, aby krupki wybrzękły. Półmisek metalowy lub z ogniotrwałej porcelany wysmarować masłem, wysypać bułeczką. Sześć pozostałych białek ubić na pianę, wymieszać z masą, wlać na półmisek i wstawić do niezbyt gorącego pieca na pół godziny do czterdziestu minut. Do tego podawać zimną śmietaną lub mleko, konfitury, albo syrop owocowy.

LEGUMINA KAWOWA Z WAFLEI

Utrzeć na śmietaną ćwierć kilo masła, dodając po jednym sześć żółtek, wlać półtorej szklanki dobrego mleka lub rzadkiej śmietanki, trochę utłuczonej wanilii lub otartej na tarce cytrynowej skórki, dodać do tego pół kilo przedniej, suchej mąki pszennej, wyrobić doskonale, uważnie, aby ciasto nie było zbyt gęste, żeby je można było nalewać do formy. Formę przed użyciem mocno wypalić w ogniu, gdy przestygnie wytrzeć kilkakrotnie bibułą, poczem ogrzać ponownie, posmarować masłem, wlać łyżkę ciasta, zamknąć i piec po obu stronach do lekkiego zarumienienia. Do następnych wafli formy smarować nie trzeba, same doskonale odstaną. Gdy wszystkie wafle upieczone ułożyć je w dużym płaskim rondlu, wysmarowanym świeżym masłem. Ugotować dwie i pół do trzech szklanek najlepszej, mocnej kawy, (kawę brać jak na czarną), dodać szklanek cukru, (kto lubi słodko, może półtorej nawet), drugie tyle, co kawy, dobrej śmietanki i sześć żółtek. Białka zbić na sztywną pianę, zmieszać z kawą, zalać tem wafle i wstawić w niezbyt gorący piec na kwadrans do dwudziestu minut. Wyborna legumina. Podaje się wraz z rondlem, w którym się piekło, owijając go, o ile nie jest ładny, serwetą. Porcja na dwanaście osób. *Pani Elżbieta.*

Dr. J. ŚWITALSKA

POWRÓCIŁA I ORDYNUJE W CHOROBY SKÓRNYCH, KOSMETYCZNYCH I WENERYCZNYCH, WYŁĄCZNIE DLA KOBIET, OD 5-7.

KRUCZA 31, TELEFON 102-77.

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Zmartwionej. Wystającą łopatką proszę się nie martwić, lecz zastosować gimnastykę Mullera 15 minut dla zdrowia. Dobre wyniki daje również masaż, a jeśli to po kilku miesiącach nie da rezultatów, proszę udać się do lekarza ortopedysty, gdyż radzić bez zobaczenia — trudno.

Na włosy tłuste stosować proszę następującą receptę przez okres 6 tygodni.

Stale myć włosy następującym płynem co 2 tygodnie. R_p na włosy. Resorcini puris, Sulf. praecip na 10,0. Spir. camph 20,0. Spir. vini rectific 80,0.

D. S. wycierać włosy codziennie na noc, przyczem nie wolno brać naświetlania lampy kwarcowej. Płyn do mycia włosów raz na 2 tygodnie.

Amon. muriat. Boracis aa 20,0. Spir. sap. Kalin 100,0. Ovi uni, Aq. destill. 40,0.

D. S. myć włosy i obficie spłókać wodą z octem. Po 2 miesiącach proszę zwrócić się o wskazanie dalszej kuracji. Na nagiotki najlepsza jest diatermia — znikają bez śladu po jednym posiedzeniu.

Jako domowy środek polecenia godnym jest Diachilum — tylko świeże. W przeciągu 10 dni — codziennie nogi moczyć i przykładać masę. Sposób ten nie drogi, mało uciążliwy, daje b. dobre rezultaty.

Pani Marta. Odmrożenie słabszego stopnia usunie Sz. Pani przez stosowanie Mego Kremu; należy go wcierać jednak stale, nie tylko podczas zimna. Przy silniejszym odmrożeniu proszę stosować gorące i zimne okłady naprzemian, dodając na pół litra wody łyżeczkę boraksu Eunice i smarować Syberyją. Na wypadanie włosów proszę zastosować następującą receptę: Sult. pne. 3,0 Ac.-salicyl Resorcini aa 2,0. Spir. rim, 80,0 zewnętrzne.

P. Zofji S. Przy przesyłaniu zamówień na kremy i pudry, proszę podawać wyraźne adresy; zdarza się bardzo często, iż adres jest zupełnie nieczytelny. Cena: mydło liljowe 3 zł.

Opalonej. „Mój Krem“ 6 zł. puder 4 zł. pudełko. Naogół polecam puder koloru naturalnego, jednak przy skórze opalanej bardziej odpowiedni jest puder Rachel clair.

G. D. Usunąć włosy z twarzy na stałe można zapomocą diatermii, lub elektrolizy. Jest to doskonały sposób, tylko uciążliwy i drogi. Na jednym posiedzeniu usuwa się do 12 włosów. Zabieg ten jednak daje zadawalające rezultaty.

K. M. Zapach z ust, o ile niema przyczyny wewnątrz organizmu, można usunąć, płószcząc usta kilka razy dziennie Elixirem Karpińskiego i stosując 2 razy dziennie pastę Dentol.

W celu zwięzienia por w skórze — wycierać należy 2 razy dziennie twarz 3% spirytusem rezorcynowym, stosując zrana „Mój Krem“.

Prenumeratorko „Bluszczu“. Mycie włosów w chmielu nie jest szkodliwe, tylko rezultaty małe. W celu wyjaśnienia włosów, dobrze jest myć je w rumianku, dodając na litr odwaru 2 łyżki wody utlenionej — nie więcej, gdyż woda utleniona szkodzi na włosy. Stałe mycie włosów tym sposobem daje powolny, lecz dobry efekt.

Przy wypadaniu włosów proszę zastosować receptę: Tra Jaborandi, Tra Rosmarini, Chinae comp. aa 10,0. Ol. Ricini 20,0. D. S. zewnętrzne.

Na mycie również: — Boracis, Amon muriat. aa 20,0. Ovi uni, Aquae dest. 40,0.

Matce stałej czytelniczce Bluszczu. Zwracać uwagę należy ogromnie na stan zębów u dzieci, gdyż niestety spotykamy próchnienie zębów nawet u 2-letnich dzieciaków. Zęby pierwsze muszą służyć do 12-lat. Bardzo często pierwsze trzonowe są brane przez matki jako mleczne, wobec tego nie zwracają uwagi na próchnienie tych zębów i pomoc dentystyczna będzie już spóźniona. Poza tem przy wyrzynaniu się zębów stałych baczna uwaga zwrócić należy na pozycję zębów. Jeżeli ząbki zaczynają rosnać krzywo, udanie się w czas do dentysty, daje możliwość zupełnego wyprostowania.

Jako bardzo dobrą delikatną dentystkę dla dzieci polecam Panią Dr. Wiśnicką, ul. Mokotowska 19. Dr. J. Świtalska.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO NR. 41

923. Suknia z kasha - drap brązowego, przybrana tygrysiem futrem-

924. Kostjum granatowy przybrany futrem.

925. Płaszcz z peleryną, zamsz koloru kreciego, kołnierz futrzany.

926. Kostjum z długim żakiem, przybrany futrem.

927. Paltocik z materiału w kratę dla dziewczynki dwunastoletniej.

928. Paltocik welwetowy, przybrany futerkiem dla dziewczynki pięcioletniej.

929. Suknia z lila jedwabiu, przybrana złotym galonem.

930. Suknia z crepe marocain deseniowego, przybrana futrem.

931. Suknia z granatowego kasha, przybrana futrem.

932. Suknia koloru feuille morte, plisa i mankiety futrzane.

933. Paltocik z podwójną pelerynką dla dziewczynki sześcioletniej.

934. Płaszcz z peleryną, przybrany futrem dla dziewczynki siedmioletniej.

935. Palto z zamszu koloru feuille morte przybrane oposami.

936. Bluzka z lekkiej wełny koloru fraise, przybrana haftem i guziczkami.

937. Kombinacja z blade różowego crepe de chine'u przybrana galonem gipiurym.

938. Komplet bielizny z jedwabnego płótna koloru bois de rose. Plisa ciemniejsza do cieniu, przybranie z gipiury.

939. Kombinacja z crepe de chine'u koloru herbacianego, przybrana walansją do cieniu.

940-941. Motywy do wyhaftowania na bluzce, lub sukni, haft kolorowy, wielkość naturalna.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3,50
suknia zwyczajna	„ 2,50
bluzka	„ 2,00
formy dziecinne	„ 2,00
bielizna	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

* * *

Zawiadamiamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu“ organizuje komplety haftów artystycznych. Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3-ej do 4-ej pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.